Rok III. Lwów, dnia 15 stycznia 1897. Nr. 2.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcya i Administracya otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.

OTWARTE KARTY.

Jak zwykle, dwuznacznie i nieszczerze, z poetycznemi upiększeniami i niedomówieniami, rozwinął mentor naszych ugodowców p. Spasowicz ulubioną swoją myśl polityczną w artykule »o dobrej woli«, zamieszczonym w *Kraju*. Jeżeli jednak odrzucimy te wszystkie dodatki, którymi autor z przezorności adwokackiej czy z nałogu literackiego swoje poglądy ozdobił i odsłonimy myśl główną w jej nagości przyrodzonej, to niewątpliwie sformułowanie tej myśli jest obecnie jaśniejsze i bardziej stanowcze, niż w poprzednich wyroczniach politycznych Janusa polsko-rosyjskiego.

Przyzwyczajenie staje się drugą naturą, tymbardziej gdy odpowiada właściwościom wrodzonym umysłu i charakteru nie mógł więc p. Spasowicz pozbyć się i tym razem zamiłowania sofistyki wykrętnej, ale sam czuje widocznie potrzebę otwartego wyłuszczenia sprawy i energicznie zaznacza, że: »Nastała pora dla położenia końca tym nieporozumieniom, temu pogmatwaniu pojęć, temu uzależnieniu szczęścia narodu od pewnych tylko form politycznych, temu utożsamianiu narodowej wolności z panowaniem«.

Na pierwszą część tego zdania godzimy się zupełnie. Istotnie nastała pora rozplątania tej gmatwaniny pojęć, tego bałamucenia opinii publicznej frazesami i ogólnikami, któremu oddają się gorliwie zwolennicy polityki ugodowej. Nastała pora wyjaśnienia nieporozumień mimowolnych, prostowania fałszów i rozwiewania złudzeń. Chwila niewątpliwie jest ważną i społeczeństwo powinno dokładnie zdawać sobie sprawę z zasadniczych różnic sprzecznych kierunków politycznych. Niejasność i nieuchwytność programu ugodowego w dotychczasowem sformułowaniu zmuszały przeciwników do uzupełniania go swoimi domysłami i przypuszczeniami dowolnemi. Dawało to obrońcom polityki ugodowej pewną przewagę lub przynajmniej łatwą sposobność do ratowania się w potrzebie z przykrego położenia. Można było wyprzeć się poglądów, przez stronę przeciwną dopowiedzianych, można było zdania ogólnikowe, wyrażone nieściśle, rozmaicie tłomaczyć. Nie sądzimy, żeby ta mglistość programu była umyślną, ale niewątpliwie była i jest szkodliwą. P. Spasowiczowi, najpoważniejszemu i najdawniejszemu wyznawcy polityki ugodowej oddawna wypadało określić jej zasady, wytknąć jej myśl przewodnią. Próbował to zrobić w odczycie o Pawińskim. ale się cofnął, zmiarkowawszy, że sformułowanie, przeznaczone dla słuchaczów rosyjskich, dla społeczeństwa polskiego jest zanadto ostrem. Teraz właściwie powtarza ten sam pogląd, ale z konieczną w danym wypadku domieszką krasomówstwa patryotycznego, z powołaniem się na wspomnienia osobiste, na tekst łaciński Pisma świętego, na wielkich poetów naszych i t. d.

Wszystko to nam niepotrzebne, bo istotę tych poglądów politycznych zawiera w streszczeniu krótki ustęp, który dosłownie przytaczamy: »Narody nie powinny gatunkować się na panujące i podległe. Wszystkie narody, ile ich jest i będzie, powinny być językowo i obyczajowo wolne i żadnemu nie należałoby przeszkadzać w wyrabianiu własnej i odrębnej kultury. Ale narodu nie trzeba brać z państwem za jedno Państwa nie bywają nigdy narodowo jednolite. Narody w państwie bywają politycznie zrzeszone, a gdzie jest rzesza, tam też być musi jakiś pierwiastek górujący i naczelny, przodujący przed innymi, jako *primus inter pares*. O tem, co to jest rzesza narodów, politycznie zjednoczonych, możemy coś wiedzieć, wszakże byliśmy sami rzeszą, rozrastającą się przez dobrowolne związki równouprawnionych narodów. Gdy rzesza została na części rozbitą i podzieloną, uwydatnił się w dawnych jej granicach ten polski pierwiastek, który był w dawniejszem państwie spojem i kitem, ale nie nadający się do tego, by dawniejszą całość dźwignąć i odbudować...«

To mówi polityk i sofista w jednej osobie, ale dalej już tylko sofista, przyzwyczajony do efektów adwokackich, głos zabiera i probuje uderzyć w strunę dumy narodowej: »Kto domaga się, aby jego podupadły naród był nietylko wolnym, ale naczelnym i politycznie przodującym, chociażby nie miał na to żadnych innych tytułów oprócz starych, kwestyonowanych i przedawnionych może dokumentów, ten stawia się w położeniu spadkobierców upadłego magnata, zubożałych i karmiących się może łzami, o żebranym chlebie, ale strojących się w dziurawe łachmany swojej dawnej książęcości i wierzących, że bez najmniejszego przyczynienia się przeżyta przeszłość znowu cudem jakimś wróci, a oni sami zostaną znowu przez kogoś wprowadzeni do utraconych praojcowskich włości. Wrodzona nam duma powinna nas powstrzymać od takiego rodzaju ambicyi. Nie mamy prawa pozować na zdetronizowanych pretendentów. Nie będziemy szukali »w ojcach winy«, smutne nasze koleje gotowiśmy przypisać historycznej konieczności, ale nie zapomnijmy nigdy, żeśmy wielkiego plemienia i bohaterskiego rodu i że te wspomnienia, choć nie dają nam żadnych praw, ale wkładają ciężkie obowiązki«.

Na zakończenie p. Spasowicz daje społeczeństwu naukę moralną i swoim zwyczajem pociesza je nieokreśloną obietnicą:

»Stojąc na jednej stopie ze wszystkimi narodami i bynajmniej nie panosząc się, weźmy się znowu do pracy, a ponieważeśmy umysłowo nie upośledzeni, więc doczekamy się niezawodnie, że nas zaliczą do pocztu przodujących w cywilizacyi i uspołecznieniu narodów«.

Zaczniemy od końca, bo ostatnie zdanie wymaga wyjaśnienia, które nam dalszy rozbiór wskazań politycznych p. Spasowicza ułatwi. Można się domyśleć,

że ta praca, dzięki której zaliczeni zostaniemy do »pocztu przodujących w cywilizacyi i uspołecznieniu narodów«, da nam również kiedyś niezależny byt państwowy, bo przecie uspołecznienie stoi w bardzo ścisłym związku z działalnością państwa. Są u nas i tacy mężowie stanu, którzy w zaufaniu zwierzają się, że polityka ugodowa jest tylko środkiem dla wzmocnienia i odpowiedniego wyzyskania sił własnych, obecnie skrępowanych. Skoro zaś siły nasze wszechstronnie rozwiniemy, nadejdzie chwila odpowiednia do podjęcia na nowo nie zaniechanych bynajmniej, ale tylko odroczonych usiłowań politycznych, mających na celu odzyskanie niepodległości narodowej. Podobne myśli wyczytać można między wierszami w głoszonym przed dwudziestu kilku laty i później programie pracy organicznej. Ta przeróbka wallenrodyzmu na modłę mieszczańską może być programem politycznym tylko w przypuszczeniu niezwykłej naiwności, powiedzmy poprostu głupoty, naszych wrogów. Jeżeli nam udało się taki program na swój użytek wymyślić, to niewątpliwie Rosyanie lub Niemcy z łatwością ukryty cel jego dojrzą i odpowiednio przeciwdziałać mu będą. A jednak takie dziecinne złudzenia polityczne tłuką się jeszcze po głowach ludzi skądinąd rozsądnych, co objaśnić chyba można odziedziczeniem nałogów konspiracyjnych. Program polityki narodowej musi być jasny, prosty i szczery, bo niepodobna przecie szeptać każdemu na ucho komentarzy do niego. Co jest właściwem i nieraz potrzebnem w działalności dyplomatycznej lub konspiracyjnej, nie może być przenoszone do wskazań politycznych, przeznaczonych dla całego społeczeństwa.

Nie przypuszczamy, żeby p. Spasowicz tego rodzaju poglądy podzielał, zaznaczyliśmy tylko możliwe tłomaczenie niektórych jego wywodów dla wykazania właśnie, że w danym wypadku jest szczerym, że istotnie każe nam wyrzec wszelkiej myśli o niezależnym bycie państwowym, ale jednocześnie daje nam nadzieję przodowania w cywilizacyi i uspołecznieniu

Jeżeli hr. Moszyński dowodzi, że nietylko upadek Polski, ale i podział jej na trzy części i wogóle utrzymanie dzisiejszego stanu rzeczy jest koniecznością historyczną, jest spełnieniem woli Opatrzności, która narodowi polskiemu powierzyła specyalną misyę, to ze swego punktu widzenia rozumuje logicznie. Ale p. Spasowicz w szczególne posłannictwo narodów nie wierzy i sam drwił nieraz z tej wiary. Wprowadza jednak do swych poglądów historyozoficzno-politycznych pojęcie celowości, narzuca narodowi polskiemu zadanie dążenia do przodownictwa w cywilizacyi i uspołecznieniu. Czyż dla tego pragniemy niezależności politycznej, dążymy do odbudowania państwa polskiego, że chcielibyśmy przodować przed innymi w cywilizacyi? Świadomość naszej odrębności narodowej i, jako jej wynik, chęć nadania tej odrębności kształtów realnych jest zupełnie dostatecznem uprawnieniem naszych dążeń i żadnego innego nie potrzebujemy. Ma się rozumieć, świadomość i chęć nasza nie wystarczają do urzeczywistnienia tych dążeń, musimy mieć jeszcze siłę odpowiednią i sposobność skorzystania z pomyślnego układu warunków zewnętrznych, z okoliczności sprzyjających, od nas niezależnych. W ocenianiu tej siły, w kombinowaniu tych warunków mogą być znaczne różnice poglądów, a więc i opartych na nich programów politycznych. Wchodzą tu w grę rozmaite względy, wpływy i pobudki, często nawet osobiste. Z ludzi, dla których zasadą przewodnią polityki narodowej jest dążenie świadome do odzyskania niezależnego bytu państwowego — jedni zalecać będą na chwilę bieżącą ograniczenie się pracą organiczną i ścisły legalizm, drugim ta właśnie chwila wydawać się może odpowiednią do rozpoczęcia działalności, bezpośrednio do osiągnięcia głównego celu skierowanej. Nietylko te skrajne, ale i pośrednie między niemi stronnictwa mogą spierać się ze sobą, nawet walczyć zawzięcie, łączy je wszakże wspólna myśl polityczna.

P. Spasowicz protestuje przeciw »uzależnianiu szczęścia narodu od pewnych form politycznych, utożsamieniu narodowej wolności z panowaniem« (?) i żąda tylko, żeby »wszystkie narody były językowo i obyczajowo wolne« i żeby żadnemu nie przeszkadzano »w wyrabianiu własnej i odrębnej kultury«. Zaznaczymy przedewszystkiem, że byt narodowy czyli odrębność narodowa jest po prostu zjawiskiem przyrodzonem, faktem realnym, mającym cel sam w sobie, nie zaś środkiem do osiągnięcia jakichś celów wyższych lub chociażby tylko »szczęścia«, do którego dążą wyznawcy ostro ale trafnie nazwanej »moralności świńskiej«. Nie będziemy więc mówili o szczęściu narodu, ale o jego odrębności, której zachowanie jest zresztą nawet dla p. Spasowicza koniecznym tego szczęścia warunkiem. Rękojmi zachowania tej odrębności musimy szukać w pewnych formach politycznych, wyraźniej mówiąc, w formie niezależności zupełnej lub przynajmniej względnej samodzielności państwowej, bo nie znamy innych form, w których by ta odrębność istnieć przez czas dłuższy i rozwijać się mogła. Polityka realna liczy się z faktami nie zaś z przypuszczeniami dowolnemi, chociażby nawet dosyć racyonalnie uzasadnionemi. Nie znamy w historyi przykładu narodu, któryby pod obcem panowaniem lub bodajby w »zrzeszeniu« z innym pierwiastkiem »górującym i naczelnym« potrafił zachować całkowicie i rozwijać swoją odrębność, »wyrabiać własną kulturę«, nie mówiąc już o przodownictwie w cywilizacyi. Przeciwnie, historya nas poucza, że wszystkie narody podbite albo traciły swoją odrębność, albo jeżeli ją nawet zachowywały, to obniżał się poziom ich kultury. Niewątpliwie w najgorszych nawet warunkach przetrwać może odrębność narodowa, jak to widzimy np na Śląsku. Ale tę odrębność przyrodzoną, przechowaną w najniższych warstwach, w ludzie, trzeba później podnosić, mozolną pracą uświadamiać, trzeba kulturę narodową wskrzeszać i stopniowo wytwarzać, jak to robić musieli i dziś jeszcze robić muszą Czesi, Serbowie, Bułgarzy i inne ludy słowiańskie.

I nas konieczność historyczna zniewala do bronienia i utrzymywania swej odrębności w warunkach bardzo niepomyślnych, ale rozumniej chyba dążyć wszelkiemi siłami do zmiany tych warunków, przeszkadzających normalnemu rozwojowi narodowemu, aniżeli podejmować próby wątpliwe.

Społeczeństwo, pozbawione niezależności państwowej chociażby było »językowo i obyczajowo wolnem« nie może wytwarzać własnej kultury, bo rozwój jej prawidłowy musi być wszechstronnym. Kultura, rozwijająca się tylko w dziedzinie języka i obyczajów, a więc niemal wyłącznie w ciasnym zakresie piśmiennictwa i sztuki byłaby tworem okaleczonym, chorobliwym. Formy życia publicznego, formy działalności społecznej, osobistej i zbiorowej, w których najwyraźniej ujawnia się odrębność kultury, byłyby narzucone, obce, nie przystosowane do właściwości charakteru narodowego. W społeczeństwie zależnem wszystkie wybitne zdolności polityczne, a nawet zdolności zawodowe i poniekąd naukowe przepadają dla kultury narodowej, bo właściwem dla nich polem jest działalność państwowa, bo

wchłania je »pierwiastek naczelny i górujący«. Dziś ludzie tej kategoryi nie mogą wprawdzie wyzyskać należycie swych uzdolnień, rozwinąć ich szerzej, ale w każdym razie ich inteligencya, ich talenty chociaż skrępowane, idą w znacznej części na pożytek kultury narodowej, zasilają jej samodzielność i odrębność. Dużo tych uzdolnień i dziś wprawdzie przepada, ale gdybyśmy zgodzili się na postulaty polityki ugodowej, gdybyśmy zostali tylko społeczeństwem »językowo i obyczajowo wolnem« w obcej organizacyi państwowej, pozbawilibyśmy umysłowość i kulturę swoją wszystkich pierwiastków żywotnych.

Zakres działalności i wpływów państwa rozszerza się coraz bardziej, wkracza w rozmaite sfery życia narodowego. Absolutna i centralistyczna monarchia XVIII wieku nie miała takiego wpływu na życie i kulturę narodu, jaki dziś wywiera państwo nawet w Anglii, gdzie działalność społeczna jest odgraniczoną, a inicyatywa indywidualna i zbiorowa doskonale zabezpieczoną. Taki jest bieg dziejów, taka tendencya stosunków współczesnych. I dlatego właśnie w dobie dzisiejszej sprawa odzyskania niezależnego bytu państwowego jest dla każdego narodu, świadomego swej odrębności, sprawą życia tj. dalszego rozwoju — lub powolnego zamierania.

»Narody w państwie bywają politycznie zrzeszone«, mówi p. Spasowicz. W państwie rosyjskiem, silnie centralistycznem, nie może być mowy właściwie o »rzeszy narodów politycznie zjednoczonych«, takiej rzeszy, o jakiej »my możemy coś wiedzieć«. Sam p. Spasowicz nie wierzy, żeby państwo rosyjskie stać się mogło w bliskiej, dostępnej przewidywaniom przyszłości, taką rzeszą, a jeżeli wierzy, to jest człowiekiem politycznie niepoczytalnym. Czyż Rosya, której polityka od wieków w duchu zjednoczenia państwowego i narodowego działała, odstąpiłaby od swego zadania dziejowego, sprzeniewierzyła się swej tradycyi i to wtedy właśnie, kiedy pod wpływem różnorodnych czynników wszystkie inne państwa dążą do wzmocnienia centralizacyi? Wyjątku nie stanowi nawet Anglia, nawet Austrya, która jest rzeczywiście rzeszą narodów, tylko w tej ostatniej dążenia centralizacyjne, należałoby powiedzieć raczej unionistyczne, występują nie w zakresie działalności państwa, ale w życiu politycznem składających je organizacyi i narodów (połączenie krajów korony czeskiej, Węgry, Wielka-Chorwacya i t. p.).

Tak, my istotnie dobrze wiemy z doświadczenia przeszłości i z dzisiejszych stosunków, co to jest »rzesza narodów politycznie zjednoczonych« i dlatego nie chcemy tego losu, który by nas czekał w takiej rzeszy. Wszak Polska była »dobrowolnym związkiem narodów równouprawnionych«, a jednak ten tylko pierwiastek, który nie był nawet »górującym i naczelnym«, ale był rzeczywiście *primus inter pares* mógł rozwijać w niej swobodnie swoją kulturę. My przecie nie uciskaliśmy Rusinów i Litwinów, którzy byli w Rzeczypospolitej »obyczajowo i językowo wolnymi«, pomimo to jednak zmarniały zaczątki kultury litewskiej, a nawet stosunkowo dosyć wysoko rozwinięta kultura ruska zaczęła upadać i tracić swoją odrębność.

Nie, dlatego właśnie, że wiemy coś o tem, co znaczy rzesza narodów, chociażby nawet dobrowolnie zjednoczonych, dlatego właśnie, że mamy »dumę wrodzoną«, »żeśmy wielkiego plemienia i bohaterskiego rodu«, nie chcemy schodzić dobrowolnie na niższy poziom umysłowy Litwinów i Rusinów, nie chcemy mieć losu »wolnych językowo i obyczajowo« Ladynów w Szwajcaryi, Bretonów we Francyi, Basków w Hiszpanii i t. p. narodowości. Takie sprowadzanie zadań polityki narodowej do obrony i zachowania językowej i obyczajowej odrębności jest wynikiem zwątpienia we własne siły. O różnorodnych przyczynach tego faktu nieraz już mówiliśmy, w danym wypadku na dwie z nich zwrócimy główną uwagę — nieznajomość sił i środków naszego społeczeństwa i fałszywe rozumienie jego położenia dzisiejszego.

»Ależ tej nowej Polski codzień już potroszę ubywa i, nim lata czekania miną, wykruszy się ona do szczętu po kawałeczku, tak, że z nas zostanie chyba kupa rumowisk nic więcej«.

Tak mówi p. Spasowicz i mówi nieprawdę, nie powiemy świadomie kłamie, chociaż on lepiej od wielu innych prawdę wiedzieć powinien. Polski ubywa? Ależ po upadku państwa w ostatnim okresie odradzania się narodu przybyło jej co najmniej w dwójnasób. Od początku XIX w. ubyło może trochę Polski, siły polskiej na Litwie i Rusi, ale ileż jej przybyło w Galicyi, na Śląsku, na Warmii i na Mazurach, ileż jej przybyło w świadomości narodowej milionów obywateli, w postępach naszej kultury, w naszym rozwoju społecznym i ekonomicznym? Warunki zewnętrzne, w których żyjemy, pogorszyły się wszędzie może, z wyjątkiem Galicyi, ale właśnie ten przyrost siły w coraz gorszych warunkach jest dowodem niespożytej naszej żywotności. Nie jesteśmy »zubożałymi spadkobiercami upadłego magnata«, którzy »stroją się w dziurawe łachmany swej książęcości«, ale jesteśmy potomkami »bohaterskiego rodu«, którzy, nie zapominając o dawnej świetności, pracą usilną dorabiają się należnego im stanowiska narodu »nietylko wolnego, ale naczelnego i politycznie przodującego«.

Tylko formalistyczne, właściwie prawniczo-adwokackie pojmowanie dziejów i spraw społecznych zrodzić mogło twierdzenie, że »nowej Polski ubywa«, dlatego, że mamy mniej praw, formalnie zabezpieczających odrębność narodową. Naprzód stosuje się to jedynie do zaboru rosyjskiego, bo, nie mówiąc już o Galicyi, nawet w zaborze pruskim chociaż straciliśmy niektóre prawa, gwarantujące zachowanie naszej narodowości, to zyskaliśmy w wielu wypadkach wskutek postępu ustaw i urządzeń państwowych możność skuteczniejszej obrony i, co ważniejsza, rozwijania naszej odrębności narodowej. Powtóre, posiadanie praw nie jest wcale miarą odpowiednią do oznaczania siły narodowej. W czem innem szukać trzeba dowodów, zresztą niezaprzeczanych, przyrostu tej siły, która gdy się należycie uświadomi i rozwinie, zdobędzie dla siebie sankcyę prawa.

Społeczeństwo nasze ma w sobie siłę potencyalną, dostateczną do wytworzenia niezależnego bytu państwowego. Przykład Galicyi najbardziej zaniedbanej, do niedawna najniżej stojącej pod względem kultury dzielnicy, wymownie świadczy o tem. Galicya nie jest jeszcze naszym Piemontem, ale nim być może, bo przecie to, co się tu robi, jest w znacznej mierze pracą odbudowywania państwa polskiego.

Nie trzeba odwoływać i podkreślać, nie trzeba też zapierać się tych naszych dążeń, dających się zresztą dzisiaj pogodzić nawet z lojalnością obowiązkową względem państw, pod których władzą jesteśmy. Dążenie do odzyskania niezależnego bytu, do odbudowania państwa polskiego wspólnem jest dla wszystkich stronnictw, które stoją na gruncie narodowym, chociaż każde z nich inne drogi i inne środki obiera, inną ma miarę potrzebnego czasu i potrzebnej siły. To nie jest wiara w cud, który »bez najmniejszego naszego przy-

czynienia się przeżytą przeszłość znowu wróci«, ale wiara w przyszłość, oparta na świadomości sił własnych, to nie złudna nadzieja, że pomoc obca lub wypadek pomyślny wprowadzi nas »do utraconych praojcowskich włości, ale zupełnie uprawnione w polityce liczenie na bieg przyrodzony faktów, na konieczny rozwój stosunków narodowych.

Zmiany pomyślne lub niepomyślne w układzie warunków zewnętrznych mogą urzeczywistnienie dążeń naszych przyśpieszyć lub opóźnić, mogą pracę naszą utrudnić, bezpośrednie jej zadania zmodyfikować, ale nie mogą, nie powinny mieć żadnego wpływu na charakter ogólny naszej polityki narodowej. Niema takich chwil, ani takich słów, od których »mylnego lub właściwego pojmowania zawisły może szczęście lub niedola, życie lub śmierć« narodu. To albo frazes literacki albo jakiś dziwny mistycyzm polityczny. Żaden błąd, ani nawet szereg błędów w polityce narodu nie zabija, jeżeli ten naród ma w sobie żywotność, jeżeli ma w sobie zasób sił umysłowych, społecznych i ekonomicznych. Od właściwego lub błędnego zachowania się ogółu zależą tylko sprawy i stosunki bieżące i nic więcej. Ale utrata zmysłu politycznego, ale zdemoralizowanie uczuć narodowych, ale abdykacya z praw swoich i stanowiska — istotnie nieraz narody zabija, a jeżeli nawet nie zabija, to na długo ubezwładnia.

Nie nierząd i szlachetczyzna, jak twierdzą wychowańcy duchowi niemieckiej biurokracyi i moskiewskiego czynownictwa, były przyczyną upadku Polski, ale właśnie ten brak zmysłu politycznego, który dziś znów widzimy w zmienionej postaci, zaniedbanie wzmacniania i budowania państwa, lekceważenie formy państwowej przez naiwność i głupotę, nie rozumiejącą, że po za tą formą niemożliwa jest prawdziwa niezależność narodowa.

LISTY WARSZAWIAKA Z GALICYI.

III.

Królestwo kongresowe, jako uprzywilejowana część Polski. Nieszczęśliwa przeszłość Galicyi. Zniemczenie; jego przyczyny. Odniemczanie, jego wadliwości i przyczyny powolnego postępu. Widoki na przyszłość.

Śmieszną jest poprostu rzeczą, kiedy my, mieszkańcy Królestwa, chwalimy się swą odpornością na ucisk narodowy, swą umiejętnością bronienia narodowej kultury.

— U nas, powiadamy, najwyżej stoi życie polskie, pomimo, że największy cierpimy ucisk...

Prawda, że w Królestwie najwyżej stoi życie narodowe, że prowincya nasza nie prędko jeszcze przestanie w rozwoju myśli polskiej przodować... ale czyż to nasza zasługa? czyż to dowód większej odporności naszej?...

Jabym powiedział, że my, w Królestwie, jesteśmy na ucisk niewytrzymali — on nam tak działa na nerwy, że aż tracimy zdolność spokojnego i logicznego o sprawach narodowych myślenia. Gdybyśmy tę zdolność posiadali, nie trzebaby nam było przypominać, że Królestwo było jedyną częścią Polski, mającą przez cały niemal okres porozbiorowy odpowiednie warunki do rozwoju życia narodowego. Nie byliśmy szczęśliwi, to prawda, cierpieliśmy wiele, ale nie wskutek ucisku kulturalnego. Nam brakowało niepodległości politycznej, nie zaś praw dla ojczystego języka i kultury. Gdy Galicya od pierwszego rozbioru przez całe niemal stulecie jęczała pod najstraszniejszym uciskiem austryackim — politycznym, narodowym i ekonomicznym, gdy Poznańskie przeszło już od wieku walczy na życie i śmierć z germanizmem rządu i znacznej części mieszkańców kraju, gdy obie prowincye przez cały ten czas miały jedno panowanie i jeden, chwilami tylko nieco lżejszy, system ucisku narodowego, my, w dzisiejszem Królestwie do ostatniego jeszcze rozbioru mieliśmy rządy polskie, potem przez lat dziesiątki w jednej części pruskie, w drugiej austryackie, później przyszło Księstwo warszawskie, po niem wreszcie kongres wiedeński zrobił nas konstytucyjnem Królestwem Polskiem, które, choć miało za króla cara rosyjskiego, ale było istotnie polskiem i pomimo klęski w r. 31 oraz zniesienia konstytucyi i armii pozostało polskiem aż do czasu, kiedy po ostatniem powstaniu zjawił się na naszym gruncie osławiony »komitet urządzający«. Rosyanie z całą słusznością widzieli w Królestwie zawsze kraj obcy zarówno kulturalnie, jak politycznie, bo przecie kongres wiedeński nie włączył nas wcale do Rosyi, jako jej części integralnej, i dopiero w popowstaniowem trzydziestoleciu, a właściwie w ostatnich latach kilkunastu poczęli nazywać *„Priwiślinije“* krajem rosyjskim, rosyjską *„okrainą“* (kresami) i aspirować do panowania w niem na wieczne czasy. Tymczasem Prusacy od wielu lat a Austryacy dawniej jeszcze zaczęli robić ze swoich zaborów prowincye niemieckie. Gdy w Rosyanach mieliśmy wrogów, kulturalnie nader słabych, Niemcy zarówno pruscy, jak austryaccy, wyżsi od nas kulturą techniczną i politycznie więcej wyrobieni, bez porównania byli groźniejsi; pomagała im nadto naturalna fala niemczyzny, pod działaniem czynników ekonomicznych posuwająca się doniedawna ku wschodowi, ruch, który dziś ustał i który w państwie pruskiem sztucznemi urządzeniami jeszcze, starają się zastąpić. Prócz tego nie zapominajmy, że Królestwo jest większą prowincyą od zaboru pruskiego i Galicyi, że całe niemal pod względem etnograficznym jest czysto polskie, gdy większa część Galicyi ma po wsiach ludność rusińską, w zaborze zaś pruskim od wieków siedziała cała masa Niemców, którzy się stali najzajadlejszymi wrogami naszej narodowości; że wreszcie Królestwo nie graniczy bezpośrednio z wrogim żywiołem rosyjskim, ale oddzielone jest od niego rozległym krajem »zabranym«, Litwą i Rusią, prowincyami polskiemi, w które łakomy wróg przedewszystkiem starał się kły zapuścić i które po dziś dzień przedmurzem Polski od wschodu pozostały. Zresztą i ten fakt ma wielkie znaczenie, że stolicą Królestwa została dawna stolica Rzeczypospolitej największe miasto polskie, największe ognisko polskiego życia umysłowego. Nasze warunki życia narodowego w okresie porozbiorowym można w porównaniu z innymi krajami polskimi uważać za świetne.

I cóż za racya wobec tego twierdzić, że my lepiej bronimy narodowej kultury?... My ją tylko lepiej przechowujemy, dzięki temu, że w Królestwie kongresowem nikt jej nie tępił, i dopiero w ostatnich czasach czyni na nią zamachy wróg, groźny nie swą kulturą, ale swem barbarzyństwem.

My, Polacy z Królestwa, mamy do pewnego stopnia prawo rej w całej Polsce wodzić i ton życiu polskiemu nadawać, ale prawo do tego dają nam wyłącznie lepsze warunki ostaniego okresu dziejowego, które nam pozwoliły kulturę narodową mniej więcej nieskażoną przechować i życie duchowe polskie na wyższej, niż gdzieindziej, stopie utrzymać.

Pod względem tych właśnie warunków Galicya znalazła się na biegunie przeciwnym. W żadnej pro-

wincyi Polski porozbiorowej nie panował tak długi i tak wszechstronny ucisk narodowy. Ten ucisk, to forsownie prowadzone przez długie lata niemczenie nie mogło pozostać bez skutku. W wielu dziedzinach życia kraju nastąpiło wynarodowienie. Zachował nieskażoną polskość lud wiejski, małemu wpływowi uległa żyjąca kulturalnem życiem polskiem szlachta, ale mieszczaństwo, żywioł rzemieślniczy, kupiecki, zwłaszcza zaś urzędniczy potężnie się zniemczyły. Jeżeli dziś, po trzydziestu zaledwie latach odniemczania, miasta Galicyi, nawet wschodniej, rusińskiej są całkiem polskie (nie mówię o masie żydowskiej, która nigdy polską nie była), to mamy w nich najlepszy dowód, że społeczeństwo nie mające w sobie samem pierwiastków rozkładu, nie daje się pod działaniem siły zewnętrznej tak łatwo wynarodowić. Gdyby Rosyanie umieli korzystać z nauk historyi, to, mając taki przykład przed oczami, prędkoby się wyleczyli ze swych złudzeń co do podbicia »kresów zachodnich« na rzecz tej kultury, której wyrazem jest obecny fronton pałacu Staszyca w Warszawie. Ruszczą Królestwo od lat trzydziestu — jeżeli ten system utrzymają jeszcze przez lat siedemdziesiąt, to w najlepszym nawet razie, nie mając tej siły kulturalnej, co Niemcy, nie zrobią nawet tyle, ile Austrya przez sto lat zrobiła w Galicyi. Lud pozostanie polskim, niezależna od rządu inteligencya również, co najwyżej, część mieszkańców miast, bardziej uzależniona społecznie od napływowego żywiołu moskiewskiego, pokryje się naleciałościami wschodniemi, które lada podmuch daleko uniesie. Takie owoce chyba nie opłacają nakładu.

Społeczeństwo galicyjskie zniemczyło się więcej w ciągu stulecia, niż powinna się była zniemczyć część narodu, mającego samoistną i wysoką dosyć cywilizacyę. Najważniejszą tego przyczyną był niewątpliwie fakt, że Galicya dostała się pod niemieckie rządy i pod niemiecki system bardzo dawno, przy pierwszym rozbiorze, w czasach, kiedy życie polskie trwało jeszcze w starych formach. Duch czasu, wielkie wypadki dziejowe przyniosły potem nowe postacie życia i przekształciły w następstwie ustrój państwowy na modłę nowożytną. Do Galicyi nowe formy polityczne, nowe instytucye wszelkiego rodzaju zostały wniesione przez państwo niemieckie, które dla wszelkich urządzeń nie miało i nie chciało mieć innych nazw, jak niemieckie. Wszystko więc, czego w dawnej Polsce nie było i na co nie posiadano wyrazów, ochrzcono z musu po niemiecku i inaczej, jak po niemiecku, nie było nazywane. Galicya nie miała, jak my, nowożytnego państwa polskiego w postaci Królestwa kongresowego, nie miała więc, jak my, możności nagięcia języka ojczystego do nowych potrzeb, i braki zastąpiła niemczyzną.

Na słabą odporność wpłynęło niewątpliwie wiele innych przyczyn, jak ubóstwo kulturalne znacznej części kraju w porównaniu z resztą Polski — niektórych np. okolic karpackich kultura polska przed rozbiorami naprawdę wcale nie tknęła —, jak niejednolitość plemienna ludności, skromna liczebność żywiołu polskiego po miastach, przepełnionych żydami, i t. d.

Dziś, po trzech dziesiątkach lat samorządu i równouprawnienia językowego niemczyzna w znacznej części znikła. Odebrano jej w szkole rolę języka wykładowego, usunięto ją prawie z sądownictwa i administracyi, pozostawiono zaś jeszcze na pocztach i drogach żelaznych, trudno wiedzieć, dlaczego. Wiele jej znikło z życia, ale też i sporo pozostało.

Tam, gdzie usunięto niemczyznę, wprowadzono na jej miejsce język polski, ale jaki język polski, Boże miłosierny! Zdawałoby się np., że, polszcząc administracyę i sądownictwo, urzędnicy nie mieli innej drogi, jak zużytkować wyborny język specyalny, wyrobiony w praktyce politycznej i sądowej Królestwa kongresowego. Ale ludzi, którzyby rozumieli tak swoje zadanie, śród urzędników galicyjskich nie było. Postanowili oni, nie szukając daleko, nanowo przełożyć na język polski wszystko, czego w nim brakowało. Ponieważ zaś instytucye galicyjskie polszczyli Niemcy lub zniemczeni Polacy, innych bowiem ludzi śród urzędników nie było, przeto nowy język administracyjny i sądowy, przez nich stworzony, jest wytworem tak okropnym, tak gwałcącym wszelkie prawa naszej mowy ojczystej, że porządny Polak najpierw go nie zrozumie, a potem, dłużej go słuchając, wścieknie się z rozpaczy. Już nie wyrazy lub zwroty, ale sylaby pojedyncze są w tym języku tłómaczone z niemieckiego.

Podobny sposób zbogacania języka ojczystego uznany został za dobry nietylko przez urzędników, ale przez całe społeczeństwo galicyjskie i, jeżeli język mieszkańców Galicyi nas razi, jeżeli czujemy w nim wiele dla nas obcego, to właśnie dzięki mnóstwu wyrazów i zwrotów całych, przełożonych niewolniczo z niemieckiego, bez znajomości ducha i praw mowy ojczystej.

Taka zepsuta polszczyzna rozpanoszyła się po miastach i miasteczkach, a słyszeć ją można z ust nawet profesorów na uniwersytetach, którzy, jakby się zdawało, powinni chyba mówić językiem literackim.

Niewątpliwie pod tym względem nastąpi z czasem poprawa — już dziś spotykamy ludzi młodszych, którzy wyrobili sobie język poprawny, kształcąc się na lepszych utworach literatury — poprawa ta wszakże musi iść powoli wobec tego, że dziś jeszcze większość nauczycieli w szkołach źle mówi po polsku i że prasa galicyjska, posługująca się przeważnie ohydnym wprost językiem, utrwala dotychczasowe błędy.

Gdy Galicyi z czasem przybędzie prawdziwej inteligencyi, ludzi wszechstronnie wykształconych, rozwinie się i większa wrażliwość na błędy i skażenia języka ojczystego, i myśląca część społeczeństwa pocznie więcej dbać o prawidłowość i czystość mowy. Tymczasem ani tej wrażliwości, ani tej dbałości niema i być nie może, zwłaszcza wobec tego, że śród ludzi starszego pokolenia wielu jest takich, co lepiej mówią po niemiecku, niż po polsku. Można tu spotkać Polaków, zwłaszcza w sferze urzędniczej, którzy dla przyjemności od czasu do czasu mówią między sobą po niemiecku, wtrącanie zaś całych zdań niemieckich dla okrasy w polską rozmowę jest rzeczą powszechną.

Skutkiem zależności ekonomicznej kraju od niemieckich i zniemczonych prowincyi austryackich, niemczyzna znajduje się w ogromnem poszanowaniu. Łyk galicyjski stale narzeka, że syn jego zamało się uczy po niemiecku, martwi się tem i wielu ludzi z »wyższej« inteligencyi, a niedawno byliśmy świadkami, jak popularny adwokat lwowski na jednem z zebrań przedwyborczych proponował, ażeby dla podniesienia znajomości języka niemieckiego śród młodzieży wykładano w gimnazyach po niemiecku... historyę.

Tu mówi się po niemiecku z kim tylko można. Szanujący się Galicyanin nie odezwie się po polsku do żyda, i trzeba patrzeć, jaką zdziwioną fizyognomię robi żyd galicyjski, zwłaszcza na prowincyi, kiedy człowiek porządnie ubrany przemawia do niego nie po niemiecku. Ba, tu się nawet zdarza, że dygnitarz autonomiczny na przyjęciu urzędowem przemawia do pejsatych obywateli... żargonem żydowskim.

Każda szanująca się restauracya i kawiarnia w Galicyi przyjmuje na kelnerów tylko Niemców lub Żydów. Czyni to ze względu na oficerów, którzy są zwykle stałymi i częstymi gośćmi i z którymi się mówi po niemiecku. Wprawdzie oficer austryacki w Galicyi musi umieć choć trochę po polsku, bo ma obowiązek rozmawiania tym językiem z żołnierzem, mógłby więc mówić i z kelnerem, mieszkańcy jednak Galicyi zanadto biją czołem przed niemczyzną, ażeby im to przyszło do głowy.

Tak tedy całkowite odniemczenie Galicyi jest sprawą jeszcze bardzo daleką. Oddala tę pożądaną chwilę wiele rzeczy: 1) posługiwanie się językiem niemieckim w niektórych instytucyach państwowych, z których dawno już mógłby i powinienby być usunięty, 2) zależność ekonomiczna od niemieckich krajów Austryi, 3) obecność śród mieszczańskiej inteligencyi galicyjskiej znacznej ilości niedostatecznie spolszczonych Niemców, 4) pochodzenie znacznej części tej inteligencyi z Rusinów, nie posiadających w dostatecznym stopniu poczucia ducha naszej mowy, i istnienie znacznej ilości wojujących Rusinów, którzy przez głupią złośliwość częstokroć z umysłu przekładają mowę niemiecką nad polską, 5) niski stan umysłowy tutejszej t. zw. inteligencyi, która, czytając mało, nie ma możności dobrego zapoznania się z polskim językiem literackim. a stąd nie ma danych do czyszczenia języka miejscowego, 6) zepsuty język prasy i niski jej wogóle poziom, wywołujący poniekąd rozpowszechnienie w kraju pism niemieckich, naogół zresztą nieusprawiedliwione wcale i będące skutkiem starego nałogu, 7) brak u tutejszych ludzi elementarnego poszanowania własnej godności narodowej, któreby nakazywało zmuszać cudzoziemców i wszelkie obce żywioły do mówienia w polskim kraju po polsku, wreszcie 8) bezmyślna pasya popisywania się nawet we własnym kraju obcym językiem, o ile go się zna choć trochę.

Dwie ostatnie przyczyny działają, niestety, w całej Polsce na szkodę naszej narodowej kultury. U nas, w Królestwie wpływają one ogromnie na szerzenie się moskiewszczyzny. A czy myślicie państwo, że warszawiacy nie przyczyniają się do niemczenia Galicyi?... Proszę obserwować podróżnych, wjeżdżających z Królestwa w granice monarchii austryackiej! Proszę patrzeć, jak taka, z przeproszeniem, małpa warszawska znalazłszy się w Szczakowej z całą forsą paple po niemiecku, bo chce mieć tę satysfakcyę, że już jest za granicą, już w obcym kraju, że może już skorzystać ze swego wykształcenia w obcych językach. Sam widziałem Polaków z Warszawy, odpowiadających po niemiecku konduktorom kolejowym, którzy się do nich po polsku zwracali.

Zresztą, zniemczenie Galicyi wyraża się nietylko w zepsuciu języka jej mieszkańców. Niemczyzna wżarła się tu w całe życie mieszczaństwa, zepsuła wzajemny stosunek ludzi do siebie, odebrała powab obcowaniu towarzyskiemu, które w Polsce zawsze tyle zalet posiadało i w Królestwie nie straciło ich dotychczas, zaciężyła, jak ołów, nad myślą ludzką, odbierając jej polską giętkość i polot, wprowadziła specyalnie niemiecką, wulgarną praktyczność do filozofii życiowej, ba, wynarodowiła nawet kuchnię.

Jednem słowem nietylko język mieszczaństwa galicyjskiego, ale całe jego życie straciło wiele polskiej samoistności i oryginalności, i dziś spostrzegaczowi przypomina ciągle, że w znaczniejszej części jest przekładem z niemieckiego na polskie.

Względne wynarodowienie Galicyi, a właściwie jej miast, stanowi ogromny przedział między tą prowincyą a resztą Polski, przeszkadza nam częstokroć rozumieć Galicyan, a im nas nawzajem. Mamy prawo się pocieszać, że dzięki zmianie warunków politycznych przedział ten stopniowo się zmniejsza, że duch polski odgrzebuje się powoli z pod germańskiej lawy, tam, gdzie ona go najgrubiej nawet pokryła, ale smutne to jest, że długo tu jeszcze czekać będziemy na całkowite wytępienie niemczyzny. Z czasem, gdy społeczeństwo zdobędzie więcej sił umysłowych, gdy mniej je będzie pochłaniała wszechwładna dziś pani w życiu jego — polityka, praca nad rozwojem kultury narodowej i oczyszczeniem z naleciałości narodowego ducha pójdzie prędzej. Zbliżamy sie ku temu i niema wątpliwości, że będzie pod tym względem coraz lepiej. W błędzie są ci, co sądzą, że przedział duchowy między Galicyą a Królestwem w dzisiejszych czasach jeszcze wzrasta.

R. Skrzycki.

ŻMUDŹ WSPÓŁCZESNA.

I.

Rusyfikacya dawnych czasów. Usiłowania dzisiejsze. Urzędnicy-Rosyanie. Organizacya życia rosyjskiego. Szkoły. Znajomość języka państwowego śród ludu. Recydywa niepiśmienności rosyjskiej. Prawosławie.

Rozpoczynając szereg artykułów o Żmudzi, przedewszystkiem zastrzegam się, iż będę się starał być zawsze ściśle przedmiotowym, podawać fakty sprawdzone lub znane ogólnie, oraz zawsze stać na gruncie rzeczywistości. W artykułach tych będzie dużo statystyki: lubię liczby, bo ich logika jest nieprzeparta. Naturalnie — mogę mylić się, ale nigdy nie dopuszczę się świadomego przekręcenia faktów lub tendencyi ubocznej.

Zaczynam swe listy od sprawy postępu rusyfikacyi na Żmudzi, albowiem sądy prasy zakordonowej zwykle przedstawiają stosunki na Litwie w świetle niewłaściwem lub nawet błędnem z powodu braku danych odpowiednich. W rzeczywistości nie brakuje ich, ale prasa w zaborze rosyjskim, mając zakneblowane usta przez cenzurę lub przez nadmiar ostrożności, milczy, omijając często kwestye najżywotniejsze.

Usiłowania rusyfikacyjne zaczęły się już od czasów upadku Rzeczypospolitej polskiej: jednem pociągnięciem pióra Katarzyna II oddała prawie trzecią część ludności żmudzkiej pod władzę hr. Platona Zubowa, zamieniając chłopów królewskich w poddanych; darowała ona Zubowowi Ekonomię Szawelską. Jednocześnie też postarano się usunąć język polski z urzędów i sądownictwa, zastępując go rosyjskim; wprowadzono instytucye ogólno państwowe. Paweł I przywrócił dawne sądownictwo, język, oraz usunął wiele krzywd, ale wymógł wprowadzenie starego stylu. Za liberalnych rządów Aleksandra I pierwsze próbki rusyfikacyjne datują się dopiero od drugiej połowy jego panowania, ale były to próbki słabe i bardzo względne. Inaczej już się działo za jego następcy: po powstaniu listopadowem Mikołaj I rozwinął niepospolitą energię, by Litwę i Ruś zupełnie zjednoczyć z państwem rosyjskiem, zgnieść kulturalne wpływy polskości i raz na zawsze uniemożliwić powtórzenie wypadków 1831 r. Konserwatywny kierunek jego polityki oraz stan rzeczy w Rosyi zmuszały go jednak do pewnej względności w postępowaniu, do poszanowania podstaw społecznych, jak je rozumiał, przeto zmiany zaszłe w kraju, lubo cofnęły go wstecz, ogłu-

piły i częściowo zdemoralizowały warstwę szlachecką, nie osiągnęły celu zamierzonego; zresztą nie było jeszcze mowy o wynaradawianiu, które zjawia się dopiero w programie rządu po wypadkach 1863 - 1864 r. Po upadku powstania nastąpiła zmiana stanowiska: postanowiono kraj zrusyfikować doszczętnie, wytępić żywioł polski i formy kultury zachodniej, potem zaś — nawet zrosyjszczyć lud litewski i sprawosławić. By osiągnąć ten cel, wszystko uznano za godziwe: powtórzyły się w drugiej połowie XIX w. takie wypadki i sceny, o jakich ludy cywilizowane już dawno zapomniały.. ale kraj nie uległ rusyfikacyi, nie stał się rosyjskim i prawosławnym.

Przedewszystkiem uznano za konieczne zadać cios śmiertelny katolicyzmowi i wytępić, zniszczyć polskość oraz warstwy kulturalne, które ją przedstawiały, potem zaś — uniemożliwić rozwój kulturalny ludu litewskiego... Nie jest mojem zadaniem kreślić przebiegu tych usiłowań, albowiem zrobiłem to już gdzieindziej; nie mam też zamiaru pisać historyi szerzenia kultury rosyjskiej, acz z wielu względów jest ona ciekawą i pouczającą dla socyologów i polityków praktycznych, chcę tylko omówić rezultaty osiągnięte, lubo brak materyałów odnośnych nie pozwala zapełnić luk istniejących, nie pozwala dać obrazu dokładnego a ścisłego.

Zastrzegam się: znaczna część danych, któremi będę się posługiwał, jest urzędową, przeto przedstawia stan rzeczy gorzej, niż jest w rzeczywistości. Szerzenie kultury rosyjskiej wyraziło się przeważnie w usiłowaniach rozpowszechnienia umysłowości i języka, prawosławia, własności ziemskiej, osadnictwa, handlu i wogóle życia rosyjskiego, zatem będę przytaczał rezultaty osiągnięte w tym samym porządku.

Po upadku powstania postarano się usunąć całą inteligencyę polską od wszelkiego udziału w życiu społecznem, w tym celu wszystkich urzędników Polaków, o ile to było możliwem, usunięto ze wszystkich instytucyi rządowych i społecznych, natomiast przysłano całą hordę urzędników Rosyan, którymi obsadzono wszystkie posady. W zasadzie mieli oni przedstawiać i rozpowszechniać kulturę rosyjską, ale w rzeczywistości byli to przedstawiciele jej stron najgorszych, ludzie z pod ciemnej gwiazdy, bez czci i wiary; naturalnie — zdarzały się wyjątki, ale nader nieliczne. Z biegiem czasu stan rzeczy zmienił się nieco na lepsze, ale niewiele, dziś nawet trzeba z latarką w ręku, pomijając sądowników, szukać pomiędzy nimi człowieka, którýby odpowiadał wymaganiom, stawianym przez rozum i etykę. Wogóle wpływy biurokracyi rosyjskiej ograniczają się tylko sferą urzędniczo-rosyjską oraz temi osobami, które z konieczności pozostają z nią w stosunkach. Wpływy te, o ile dają się odczuwać, są stanowczo szkodliwe. Z początku oddziaływały one o wiele silniej, niż obecnie, bo od lat kilku wszelkie stosunki towarzyskie pomiędzy nimi a nami zostały zerwane; są one nawet niemożliwe, ponieważ wymagają zrzeczenia się do pewnego stopnia godności osobistej. Rosyan inteligentów, uprawiających profesye wyzwolone a nie pozostających na służbie państwowej, prawie niema na Żmudzi. Niema np. ani jednego lekarza prywatnego Rosyanina; jest tylko dwóch adwokatów w Kownie (jednemu z nich sąd zabronił praktyki). Znajdzie się prawdopodobnie kilka nauczycielek prywatnych Rosyanek... oto i wszystko! Słowem — cała niemal inteligencya rosyjska składa się z urzędników i nauczycieli oraz ich rodzin. Postarano się, przy pomocy rządowej, stworzyć dla niej ognisko życia kulturalnego, wierząc w ich oddziaływanie na ludność miejscową; tak np. teatr rosyjski w Kownie otrzymuje znaczne subsydyum od rządu; to samo stosuje się do kowieńskiego »Towarzystwa miłośników literatury ojczystej«, które zgromadziło znaczną bibliotekę, otwartą dla publiczności za małą opłatą. W Kownie założono rosyjskie towarzystwa: lekarskie, muzyczne, miłośników sztuki dramatycznej, niesienia pomocy tonącym i t. d. Istnieją one i wloką nędzny żywot o tyle, o ile im pomaga administracya; bez jej pomocy żadne nie utrzymałoby się u nas. Ludność miejscowa uchyla się stanowczo od wszelkiego w nich udziału. We wszystkich miastach, a nawet w niektórych miasteczkach (w Taurogach i Jurborku) istnieją rosyjskie kasyna towarzyskie (t. zw. kluby), ale z inteligencyi miejscowej odwiedzają je tylko osoby, pozbawione poczucia godności osobistej; w każdem wisi napis: »wzbrania się mówić po polsku«! Rozumie się — Rosyanie miejscowi zawsze i wszędzie posługują się językiem rosyjskim, starając się go krzewić wszelkimi sposobami, lubo znaczna część ich mówi lub rozumie po polsku; wtorują im w tem Żydzi nibyto cywilizowani, którzy bardzo chętnie przemawiają językiem Iwana Groźnego, nawet w stosunkach wzajemnych, kalecząc go bez miłosierdzia. Łatwo zrozumieć, że wszyscy, pozostający w jakiejbądź styczności ze służbą rządową lub społeczną, zawsze posługują się tym językiem; z tych to przyczyn mowa rosyjska w miastach i na kolejach żelaznych daje się słyszeć na każdym kroku. Niemniej gorliwie szerzą ją szkoły; uczniom wogóle nie wolno mówić po polsku. Tu przytoczę nieco danych, zaczerpniętych ze źródeł urzędowych a rzucających niejakie światło na kwestyę rozpowszechnienia dźwięcznej mowy moskiewskiej. O zebranych w Telszach na ćwiczenia wojskowe członkach pospolitego ruszenia (*opołczenja*) z całego powiatu pisano: »komendant zgromadził dziesiętników pospolitego ruszenia, wyjaśnił im przyczynę nabożeństwa, opowiedziawszy o cudownym wypadku z dnia 29 (17) października 1888 r. oraz rozkazał przetłómaczyć to dziesiątkom po żmudzku, ponieważ wśród pospolitego ruszenia nie więcej jak 25 ludzi posiadało język rosyjski«. *) Oficyalny »Pamiętnik« gub. kowieńskiej na r. 1891 tak mówi o tej kwestyi na str. 84: »Litwin tutejszy jest żywszy i śmielszy niż Żmudzin, nie tak skryty i podejrzliwy oraz mniej zabobonny. Mieszkając bliżej Białej Rusi, uległ on wcześniejszym i głębszym wpływom ruskim; mowa słowiańska jest im więcej znaną niźli Żmudzinom. Mimo to jednak, podług obliczenia dokonanego w r. 1870 okazało się, iż tylko 6659 osób t. j. 4% umie czytać po rosyjsku, a 18.130 osób czyli 13% posiada (rozumie) język państwowy«. Urzędowy »Pamiętnik gub. kowieńskiej« na r. 1892 str. 105 mówi, że w pow. kowieńskim tylko około 5·5% ogółu ludności wiejskiej umie czytać po rosyjsku, gdy — dodaje źródło oficyalne — umiejących czytać po litewsku w każdej włości narachowano setki i tysiące. W tymże »Pamiętniku« urzędowym czytamy, że włościanie pow. rosieńskiego bardzo łatwo i chętnie uczą się po polsku, gdy natomiast wszelkie usiłowania rozpowszechnienia języka państwowego wydały rezultaty następujące: w r. 1890 okazało się, że tylko 531 dzieci do 12 lat, umiało czytać po rosyjsku, osób starszych po nad ten wiek — 4474 czyli razem około 5 tys. osób t. j. 3·5% ogółu ludności włościańskiej (str. 110). W pow. nowo-aleksandrowskim w r. 1889 okazało się, że 708 dzieci, młodszych od lat 12, umiało

*) „Kowieńskie wiadomości gubernialne" 1871 r. Nr. 85, dodatek.

czytać po rosyjsku osób, zaś starszych ponad ten wiek — 5168 czyli razem 5876, co stanowi około 4% ogółu ludności włościańskiej. Nawiasem dodam, że wedle danych urzędowych umiało czytać po litewsku 13%, po polsku zaś — przeszło 3%; w czterech białoruskich gminach umiało czytać po polsku 4894, po rosyjsku — 807 i po litewsku (w gminie rymszańskiej) — 898 osób. Język urzędowy posiadało 37% ogółu ludności wiejskiej; najbardziej rozpowszechniony jest on w południowo wschodniej części powiatu, geograficznie i etnograficznie należącej do Białej Rusi *). W pow. szawelskim w r. 1894 narachowano umiejących czytać po rosyjsku: 1016 dzieci młodszych od lat 12, oprócz 6192 osób starszych ponad ten wiek, czyli razem około 7200 osób t. j. 5·5% ogółu ludności wiejskiej; językiem urzędowym władało 14.649 osób t. j. prawie 11%. Brakuje danych o rozpowszechnieniu się języka rosyjskiego śród ludności wiejskiej powiatów telszewskiego i poniewieskiego; na stan tej kwestyi w pierwszym rzuca niejakie światło fakt, przytoczony powyżej, w drugim zaś — język urzędowy jest mało znany, zwłaszcza na całem pograniczu kurlandzkiem, jak to wskazuje doświadczenie codzienne i praktyka sądowa. Warto tu nadmienić, iż z ubolewaniem stwierdzono fakt, o którym urzędowy »Pamiętnik« na r. 1890 mówi: »uczących się w tym powiecie (rosieńskim) było 1427 chłopców i 230 dziewcząt, ale z tej liczby do stanu włościańskiego należało 937 chłopców i 63 dziewcząt; jeżeli przypuścimy, że liczba uczących się dzieci stanu włościańskiego wyniesie do tysiąca, to ilość umiejących po rosyjsku chłopów winna znacznie przenosić 5 tys. osób, ponieważ szkoły mogły dostarczyć tej ilości piśmiennych w ciągu 5 – 6 lat. Oczywiście *„że wiele osób, które nauczyły się po rosyjsku, wskutek różnych przyczyn wpada w recydywę niepiśmienności po rosyjsku"* — dodaje wspomniany »Pamiętnik« na str. 110. Fakt ten stwierdzono też w powiatach innych: »Licząc wogóle 1700 uczących się w r. 1893, należących do stanu włościańskiego, oraz porównywając tę liczbę z liczbą umiejących po rosyjsku — 5886, wypadnie zrobić wniosek, stosujący się i do powiatów innych gub. kowieńskiej, że wiele z pośród osób, które nauczyły się po rosyjsku, bardzo prędko wpada w recydywę niepiśmienności« — mówi »Pamiętnik gub. kowieńskiej« na 1895 r. na str. 174 o ludności wiejskiej pow. nowo-aleksandrowskiego. O ludności wiejskiej pow. szawelskiego źródło urzędowe wyraża się tak: »jeżeli przypuścimy, że z ogólnej liczby uczących się — 1912, do ludności wiejskiej należy tylko 1000—1200 dzieci, to za czas istnienia szkoły rosyjskiej, cała ludność dorosła powinna umieć czytać po rosyjsku lub przynajmniej władać językiem państwowym. Z tego wynika bez zaprzeczenia, że recydywa niepiśmienności i zupełnego zapomnienia języka rosyjskiego jest faktem niewątpliwym w pow. szawelskim, jak i w innych« (»Pamiętnik gub. kowieńskiej« na r. 1896 str. 142). Wogóle można śmiało twierdzić, że rozpowszechnienie języka państwowego przy pomocy szkoły ludowej daje rezultaty bardzo marne, ponieważ sama szkoła nie cieszy się uznaniem ludu; liczba uczących się dzieci wyznania katolickiego w porównaniu z r. 1886 zmniejszyła się o 4%, gdy natomiast ludność wzrosła o 8·6%. Wszelkie usiłowania krzewienia szkolnictwa rosyjskiego natrafiają na zacięty lubo bierny opór — z bardzo wielu przyczyn. Na wszelkie propozycye zwiększenia wydatków szkolnych — zebrania gminne zwykle odpowiadają: *„ne dosiu"!* (nie damy). Niewątpliwie gminy nie dałyby na szkołę grosza złamanego, bo nawet dziś, pomimo całego nacisku z góry, korzystają one z każdej sposobności by obciąć wydatki szkolne, co udało się im poniekąd.

Warto skreślić słów parę o rezultatach nauczania. Wedle »książki jubileuszowej«*) w ciągu lat 30 uczyło się w szkole ludowej około 75 tys. dzieci; ukończyło zaś ją 19 tys. chłopców i 1500 dziewcząt. Celem szkół rosyjskich jest, jak wiadomo rozpowszechnienie języka państwowego oraz »kultury rosyjskiej wśród dzikich, sfanatyzowanych Żmudzinów«, których znaczna większość — mówiąc nawiasem — umie czytać. O ile ten cel został osiągnięty, dane przytoczone opowiadają. O wiele skuteczniej na rozpowszechnienie języka, rosyjskiego działa służba wojskowa, chociaż nieraz stwierdzono, że byli żołnierze zapominają łatwo języka którego się w wojsku nauczyli. Niekiedy wśród ludu można słyszeć śpiewy rosyjskie — są one wyniesione bądź z wojska, bądź ze szkoły, która uprawia chóralny śpiew rosyjski nader gorliwie. Podobają się one powszechnie: zdarza się nawet, że dziewczęta śpiewają je, nie rozumiejąc ani słowa. To zjawisko jest bardzo naturalnem wobec ubóstwa melodyi litewskich. Uprzednio wspomniałem o t. zw. recydywie niepiśmienności, na którą tak się żalą władze. Otóż żeby ją zmniejszyć nieco, z inicyatywy p. Klingenberga, bohatera krożańskiego, urządzono w 1893 r. przy szkołach ludowych 61 biblioteczek. Liczba ich wzrastała stopniowo, tak, że w dniu 1 (13) stycznia istniały już one przy wszystkich szkołach ludowych męzkich (152) i żeńskich (7) oraz przy 13 parafialnych: liczyły zaś razem 9811 dzieł w 10.700 tomach, które kosztowały 3786 rub. 37 kop. Wedle sprawozdania za r. 1895 biblioteki miały 4897 czytelników, ktorzy wzięli do przeczytania 8794 książek; warto zanotować, że 7 biblioteczek, istniejących przy szkołach żeńskich, miało tylko 11 czytelniczek, które przeczytały 22 książki. Naturalnie — dziełka są wyłącznie rosyjskie w duchu patryotyczno-prawosławnym, pełne tendencyi nam wrogich. Wogóle czytelnictwo rosyjskie, nawet śród warstw cywilizowanych, jest bardzo mało rozwiniętem, boć Rosyanie miejscowi nie trudnią się tem. Niema ani jednej księgarni wyłącznie rosyjskiej, istniejące sprzedają niemal wyłącznie podręczniki szkolne, materyały piśmienne i t. d. Statystyka pocztowa dostarcza niejakich danych w tej kwestyi, zwłaszcza z zakresu prasy peryodycznej. Otóż z 11 tys. rozchodzących się pism peryodycznych, otrzymywano rosyjskich 7828 egz. (W tej liczbie było przeszło 3 tys. urzędowych), z pozostałych zaś abonowano 1055 egz. »Świeta«, 807 egz. »Niwy«, 423 egz. »Syna Ojczyzny« i t. d). Jednem słowem — przeważają pisma z kierunkiem »patryotyczno-szynkowym«, jak się wyrażają Rosyanie ucywilizowani. Ta drobna okoliczność rzuca światło jaskrawe na umysłowość naszych cywilizatorów. Wiemy też, że rosyjskie instytucye towarzyskie abonują przeważnie pisma, których nie można zaliczać ani do rozumnie i uczciwie prowadzonych, ani do poważnych. Książka rosyjska, zwłaszcza poważna, wśród naszego społeczeństwa dotąd, jak i przed laty, jest krukiem białym; słowem — istnieje pewna antypatya do książki rosyjskiej, która nie zważa na jej treść. Ta antypatya zresztą bardzo naturalna, rozciąga się na sferę wierzeń religijnych; prawosławie, wiara urzędowa, jest czemś tak wstrętnem dla ogółu, że ściśle to nie daje się okre-

*) Pamiętnik gub. kowieńskiej na r. 1895 str. 172—173.

*) Gub. Kowieńska za okres czasu od 1843—1893 r.

ślić. Prawosławie utożsamiają u nas z rosyjskością państwową, raczej — z jej najgorszemi stronami — i bodaj słusznie. Małżeństwa mieszane, w których jeden z współmałżonków jest wyznania wschodniego, są jednogłośnie a ogólnie surowo potępione. Opinia publiczna w tej kwestyi występuje tak silnie a zgodnie we wszystkich warstwach społecznych, nie wyłączając ludu, że małżeństwa mieszane są u nas nader rzadkie. Przyjęcie prawosławia — to czyn hańbiący człowieka na zawsze a wykluczający go z łona społeczeństwa; pomimo wszelkich usiłowań w ciągu lat 30 z górą przeszło na wyznanie wschodnie około 150 katolików i 1 kalwin, p. Cerawski, nauczyciel publiczny. W ciągu tego czasu zjednoczyło się też z kościołem wschodnim około 1000 »odszczepieńców«, na zasadach, zatwierdzonych w r. 1799. Zjednoczeni z prawosławiem odszczepieńcy noszą nazwę »jednowierców«; mamy ich dziś tylko 453 mężczyzn i 406 kobiet.

Ma się rozumieć — zwrócono przeważną uwagę na zewnętrzne pozory, by krajowi katolickiemu nadać cechy prawosławne; nabudowano cerkwi, przerobiono nawet na nie niektóre kościoły katolickie, założono klasztor żeński w Antoleptach i bractwo św. Mikołaja w Kownie. Gubernia kowieńska należy do archidyecezyi prawosławnej litewskiej; ma ona swego wikaryusza-biskupa, który mieszka w klasztorze pożajskim pod Kownem; dzieli się zaś na 4 dekanaty: kowieński, wiłkomierski, szawelski i nowo-aleksandrowski. Cerkwi parafialnych było 33, filialnych 5 i domowych 1, oprócz katedry w Kownie i wielkiej cerkwi fortecznej. Istnieją też cerkiewki przy dwóch gimnazyach męzkich i żeńskiem oraz przy niektórych więzieniach. Klasztorów prawosławnych mamy 3: w Pożajściu pod Kownem (do r. 1832 klasztor Kamedułów), w Surdegach, założony przez Annę Szyszankę-Stawiecką, w r. 1550, oraz klasztor żeński w Antoleptach z r. 1893. Duchowieństwo prawosławne, acz postarano się o jego najlepszych przedstawicieli, nie cieszy sie ani uznaniem, ani szacunkiem, nawet własnych parafian, którzy widzą w popach tylko urzędników państwowych, często gęsto szpiegujących każdy krok swoich owieczek, lubo z nakazu wyższego otacza się ich oznakami czci i poważania. Żadnych wpływów na ludność miejscową to duchowieństwo nie wywiera; klasztory posiadają nieco ziemi, ale ich stosunki z włościaństwem miejscowem są nader przykre. W ostatnich czasach duchowieństwo prawosławne stara się rozszerzać swój wpływ przy pomocy szkoły ludowej: stworzono w Wilnie archidyecezyalną radę szkolną, w której zawiadywaniu znajduje się 66 szkół, mianowicie 19 parafialnych i 47 t. zw. dodatkowych. Uczyło się w nich 1493 dzieci; w tej liczbie było 764 prawosławnych, 268 starowierów oraz nieco katolików. Utrzymanie tych szkół kosztowało 11.857 rub. 27 kop.; na tę sumę złożyło się 9166·29 rub. asygnowanych z rozporządzenia jenerał gubernatora z t. zw. opłat ziemskich, 341 rubli, które dały gminy wiejskie, oraz 1300 rub., ofiarowanych przez zarząd drogi żel. libawsko-romieńskiej i 50 rub., złożonych przez ofiarodawców. Warto nadmienić, że we wszelkich lokalach publicznych, nie wyłączając sal kolejowych i szkolnych, zawsze wisi w kącie „*ikona*“.

Jan Syrokomla.

Z CAŁEJ POLSKI.

Czas w obawie o solidarność poselską. Nowe hasła wyborcze. Potrzeba odnowienia przedstawicielstwa polskiego w Wiedniu i Berlinie. List p. Szeligi i odpowiedź p. Markgrafskiego. Duma obrażonego uczucia.

Wkrótce, bo zapewne w pierwszych dniach wiosny odbędą się w całej Galicyi wybory do Rady państwa. »Nie ulega wątpliwości — pisze korespondent jednego z pism poznańskich, że cała Galicya stanie się wielkiem polem walk partyjnych, które wybuchną niebywałą namiętnością polityczną«. Wszystkie stronnictwa przygotowują się do walki — i te, które są w Radzie państwa reprezentowane, i, gorliwiej jeszcze, te, które dotychczas w Wiedniu przedstawicieli nie mają.

Jak zaznaczyliśmy przed półrokiem, solidarność Koła polskiego będzie głównem hasłem wyborczem. Ale w opinii ogółu nastąpił od tego czasu zwrot, dla obrońców solidarności, a nawet poniekąd dla jej przeciwników niespodziewany. Solidarność poselska przestała być dla wielu ludzi inteligentnych — dla masy wyborców nigdy nie była — dogmatem niewzruszonym polityki narodowej, którego krytykować nie wolno. Zdawało się że trzeba będzie całym wysiłkiem dogmat ten podważać, tymczasem okazuje się, że zwolennicy solidarności bezwzględnej rozpaczliwie bronić jej muszą nietylko od napaści przeciwników, ale i od zamachów na nią ludzi, którzy dotychczas żadnych heretyckich wątpliwości nie żywili. Ogół inteligencyi coraz widoczniej przechyla się do zasady, uchwalonej na zjeździe stronnictwa ludowego w Tarnowie, że solidarność poselska powinna obowiązywać tylko w sprawach narodowych.

Określenie dokładne tych spraw dosyć jest trudnem, ale możliwem i praktyka z pewnością wszelkie wątpliwości w tym względzie usunie.

Z obroną solidarności bezwzględnej wystąpił *Czas* w pierwszym numerze po Nowym Roku. O co chodzi autorowi tego mętnego artykułu, trudno zrazu zrozumieć, ale w końcu szydło wychodzi z worka, napchanego frazesami. *Czasowi* niepodobała się wygłoszona w sejmie mowa posła Szczepanowskiego i do niego stosuje następującą apostrofę: »Niebezpiecznie za naszych czasów, żując liście laurów, zasiąść na trójnogu Pityi delfickiej i upajając się parą, wydobywającą się z czeluści, wygłaszać z najeżonymi włosami konwulsyjnie wyrocznie dwuznaczne, których wytłómaczenie pozostaje dowolnem. Jeżeli do tego oczy zajdą krwią popularności i zaćmi ona wzrok, to, przy udatnem kuglarstwie słowami, opłakany osiągnąć można skutek«.

Wyrocznia krakowska potępia p. Szczepanowskiego za uznanie w zasadzie, zresztą z rozmaitemi zastrzeżeniami, ruchu ludowego jako objawu, dla sprawy narodowej pomyślnego: »Kto widząc dotychczasowe skutki, poczytuje obudzenie się u nas t. z. ruchu ludowego za pocieszający symptom, ten wydaje taką dwuznaczną wyrocznię na mocy idealizmu, czułostkowości i histeryi«.

Widocznie obawa, zresztą zupełnie płonna, żeby t. zw. demokraci nie zawarli sojuszu wyborczego ze stronnictwem ludowem i nie zgodzili się na zreformowanie tak pożądanej dla stańczyków solidarności, nastroiła *Czas* na ton podniosły i pomieszała porządek jego myśli. Ale, wybrnąwszy szczęśliwie z frazesów, dalej mówi już dosyć jasno: »Solidarność może wiele, ale także nic lub coś szkodliwego oznaczać. W bezpośredniem zadaniu, które nas czeka, nie idzie o abstrakcyjną solidarność, ani o jakąś ogólno-chaotyczną solidarność, idzie o solidarność Koła polskiego w Wiedniu,

określoną jego statutem, na którym opiera się jego organizacya. Tej bronić do upadłego, tę ocalić, oto najbliższy obowiązek. Wszak solidarność jakąś, ale zabójczą dla tej, którą zachować trzeba, uznali w Tarnowie ci, co godzą w jedynie zbawczą solidarność Koła polskiego. Pomięszania pojęć w tej mierze w żaden sposób dopuścić nie należy, bo niechybnie nastąpiłoby pokrzyżowanie i zagmatwanie czynów. Dla ochrony i solidarności Koła polskiego, opartej na jego statucie, to jest jego organizacyi, powinniby solidarnie działać wszyscy patryoci, konserwatyści i demokraci, ale takie przymierze nie powinno, nie może się stać pomostem, po którymby ludowcy do swoich doszli celów, ani furtką, którąby weszli do fortecy wrogowie organizacyi Koła, aby ją rozsadzić«.

A więc ta solidarność, która oddawna służyła już tylko do obrony interesów klasowych lub nawet do skutecznego obrabiania interesów osobistych, ma być »jedynie zbawczym« dogmatem polityki narodowej i należy »bronić jej do upadłego«, ocalić za wszelką cenę. Zaiste, może *Czas* zastosować w tym wypadku do siebie przytoczone w artykule zdanie o retorze starożytnym, że »jego rzemiosłem jest przedstawiać małe rzeczy jako wielkie«. Do obrony tej wyszarzanej, skompromitowanej solidarności poselskiej, tej asekuracyi wstecznictwa, wzywa *Czas* wielkim głosem, wołając: »niech każdy Polak spełni swój obowiązek«. Ależ to on właśnie jest »jako szewc, który umie robić tylko duże trzewiki na małą nogę«.

Nowe »hasła wyborcze« głosi hr. Mieczysław Rej, jeden z wybitniejszych przedstawicieli obozu zachowawczego, człowiek rozumny, samodzielny i szczery. Nie jest on zresztą szablonowym zachowawcą, ma fantazyę szlachcica polskiego z XVI wieku i śmiałość polityczną torysa angielskiego. O broszurze jego, której w handlu księgarskim nie ma, napiszemy zapewne obszerniej, tu zaznaczę tylko, że hr. Rej rzuca takie hasła wyborcze, jak powszechne prawo do pracy, t. j. do pewnego zarobku i prawo do ogniska domowego, w znaczeniu anglo-amerykańskiego *homesteade'u.* W tej chwili obchodzi nas tylko jego zdanie że zasada solidarności poselskiej zbankrutowała w opinii publicznej i że w nowej izbie może tylko 20—30 posłów zgodzi się na nią.

Sądzimy, że znajdzie się takich więcej, ale wątpliwości nie ulega że będziemy mieli w nowej izbie przynajmniej dwa kluby polskie, a może trzy nawet z czasem, bo, kto wie, czy demokraci zechcą się poddać pod komendę stańczyków i zachowawców, kiedy się przekonają, że podział reprezentacyi polskiej zgubnych skutków dla sprawy narodowej nie ma.

Niewątpliwie, lepiej byłoby, gdyby posłowie polscy tworzyli jeden klub w Radzie państwa, ale dziś jest to niemożliwem i nawet niepożądanem, jak nieraz wykazywaliśmy. Nasza opinia publiczna lęka się wszelkich zwrotów nagłych, wszelkich kroków stanowczych, wtedy nawet, kiedy ich pożytek, kiedy ich konieczność uznaje. Jest to rys naszego charakteru narodowego, który wytworzyło życie w niewoli, pod grozą, że każde naruszenie istniejącego stanu rzeczy raczej szkodzi nam niż pomaga. Zawsze chcemy wszelkie sprzeczności łagodzić. rozbieżne dążenia zbliżać ku sobie, każdą sprawę kończyć kompromisem. Ten rys charakteru narodowego występuje wyraźnie w naszych sądach polubownych, których wyroki zazwyczaj nie zadawalniają stron obu, a krzywdzą interesy prywatne lub publiczne, krzywdzą sprawiedliwość.

W danej sprawie przedstawiciele inteligencyi szczerze demokratycznej powinni powiedzieć sobie, że przełom stanowczy w naszych stosunkach parlamentarnych jest koniecznym, że chociażby nawet były wskutek tego pewne szkody, co jest wątpliwem, to w rezultacie ostatecznym zyski będą daleko większe. Oczyszczenie naszej atmosfery politycznej, odświeżenie naszego przedstawicielstwa nowymi ludźmi i kierunkami jest sprawą ważną i pilną, ważniejszą i pilniejszą niż wszystkie inne. W poczuciu tej potrzeby nie zawahali się Czesi poświęcić swoich zasłużonych dla sprawy narodowej przedstawicieli i źle na tem nie wyszli, a dziś wzmacniają znowu, już na innych podstawach, solidarność narodową. Żadne ze stronnictw naszych nie ma takich zasług, jakie miało stronnictwo staroczeskie. Kiedy tam usuwano z widowni politycznej ludzi szanownych, ale przeżytych i w danej chwili nieodpowiednich, nam usunąć wypada ludzi, których nieudolność lub samolubstwo klasowe, lub wreszcie nieuczciwość zwyczajna dużo sprawie publicznej zaszkodziły.

Potrzeba odświeżenia przedstawicielstwa narodowego staje się coraz widoczniejszą i w zaborze pruskim. Korespondent berliński *Nowej Reformy* zaznacza, że w »szerokich kołach« ludności często słyszeć można głosy niezadowolenia: »Na co nam pracować i męczyć się przy wyborach, skoro wybrańcy nasi okazują się uległymi dla rządu, skoro zaniedbują najlepszych sposobności, aby wystąpić śmiało i otwarcie wobec naszych gnębicieli, i skoro, gdy nareszcie przemówią, mowy ich wyglądają na mozolnie wypracowane kazania. Lepiej wcale posłów nie wybierać, bo przynajmniej owych 18 obywateli pozostałoby w kraju i z większą korzyścią mogłoby pilnować swoich interesów i pracować dla społeczeństwa na miejscu«.

Często spotkać się można ze zdaniem, że lepiej byłoby wybrać do sejmu kilkunastu Polaków, mieszkających w Berlinie, którzy by otwarcie zaznaczyli swoje stanowisko, a w komisyach i pracach parlamentarnych nie brali by wcale udziału i tylko do parlamentu wysyłać posłów, gdy chodzi o ważne sprawy i gdy głosy polskie mogą przeważyć szalę.

Tego rodzaju projekty rozpaczliwe wskazują, że wyborcy są ze swych przedstawicieli niezadowoleni i że tylko poczucie karności, które przeszło w nałóg, powstrzymuje ich od wykazania w sposób dobitny tego niezadowolenia.

Ostatnie rozprawy w sejmie pruskim z powodu rozwiązywania zebrań towarzystw polskich zaszkodziły znowu oddawna już zachwianej powadze Koła. Posłowie nasi popełnili błąd nie do darowania, powstrzymując się od interpelacyi w sprawie opalenickiej, którą znakomicie można było wyzyskać. Sposobność podobna nie zdarzy się tak prędko. Przeciwnicy nasi byli zbici z tropu, a nastrój opinii publicznej, o ile wyrażały ją pisma, był dla nas pomyślnym. Lękliwe cofnięcie się posłów polskich z obawy narażenia się sferom rządowym i rozdrażnienia przeciwników ośmieliło tylko tych ostatnich. Nie chcąc ich drażnić, nie trzeba było rozgłaszać tej sprawy, skoro zaś to uczyniono, należało śmiało iść do końca. Teraz pozwoliło się Koło uprzedzić stronnictwu centrum, a prezes jego przemawiał tak nieudolnie, że lepiej byłoby, gdyby posłowie polscy wcale głosu nie zabierali. P. Motty jest w życiu codziennem człowiekiem rozsądnym i uczciwym, był szanowanym sędzią i dobrym obywatelem, ale jest mówcą niedołężnym i takim samym politykiem. Mowę swoją zakończył apostrofą do rządu, że odsuwając szlachtę i duchowieństwo od ludu, wystawia ten ostatni na dzia-

łanie wpływów szkodliwych. Jak gdyby rządowi chodziło o to, żeby szlachta i duchowieństwo wpływ na lud polski zachowały!

Dawniejsza taktyka Koła polskiego, które przy każdej sposobności protestowało przeciw uciskowi narodowemu, powołując się na prawo i sprawiedliwość, na uroczyste przyrzeczenia królów pruskich i traktaty międzynarodowe — nie powstrzymywała germanizacyjnej polityki rządu, ale miała przynajmniej ten skutek, że nas szanowano, zapewniała nam, zresztą platoniczne, sympatye ludzi i stronnictw uczciwych. Teraz straciliśmy nietylko sympatye, ale nawet szacunek, wypowiedziały to bardzo wyraźnie niektóre pisma katolickie z powodu interpelacyi, nie szczędząc Kołu polskiemu ostrych ale zasłużonych zarzutów.

W czasie krótkiego trwania złudzeń ugodowych posłowie polscy szli na wyścigi ze stronnictwami rządowemi w lojalności pruskiej i uprzejmości. Wiadomo jaki był skutek tych poniżających godność narodową zabiegów. Rząd odpowiedział na nie pogardą i nowemi prześladowaniami. Posłowie widzą dziś niewątpliwie, że ich polityka była błędną, ale zapędziwszy się na manowce, nie mogą wrócić na dawną drogę, ani tymbardziej znaleść nowej, bo nie ma między nimi ani jednego człowieka, któryby miał odpowiednie przymioty umysłu i charakteru. Polityka ugodowa zbankrutowała, i jej przedstawiciele nie wiedzą, jak powinni teraz postępować. Właściwie należało im złożyć mandaty, ale na ten czyn zdobyć się nie mogli. Z krótkiego okresu sielanki ugodowej pozostały im stosunki osobiste z ministrami i sferami rządowemi, którym nie chcą się narażać. Tak chyba tylko wytłomaczyć można wystąpienie ks. Jażdżewskiego, kiedy w komisyi budżetowej parlamentu głosował za przyznaniem rządowi nowych sum na wydatki wojskowe i za utworzeniem 40 kapel wojskowych, którym teraz właśnie ponowiono zakaz grywania melodyj polskich nietylko w miejscach publicznych, ale nawet na zebraniach prywatnych.

Ci dyplomaci ugodowi chociażby chcieli, poprawić się nie mogą, a uczciwi ale niedołężni ich towarzysze na stare lata nie odzyskają energii. Innych trzeba ludzi, z innym temperamentem, z innemi pojęciami. Chwila jest bardzo ważną, zaczyna się walka trudna i niebezpieczna. W takiej chwili pożądani byliby ludzie w zapasach z wrogiem wyćwiczeni, ale nie tacy, których jedyną zasługą są długie lata służby publicznej, którym jeżeli należą się szewrony — to chyba za nieudolność lub karygodną naiwność polityczną. »Jeżeli posłowie nasi szybko nie nawrócą z niebezpiecznej drogi, pisze wspomniany wyżej korespondent, to opozycya, która się objawiła przy ostatnich wyborach do parlamentu, była igraszką w porównaniu z tem, co dziać się będzie przy najbliższych, które nas już czekają w przyszłym roku«. Posłowie zmienić się na żądanie wyborców nie mogą, gdyby nawet chcieli to uczynić, to zwrot ten będzie pozornym. Ludzie w ich wieku i na ich stanowisku nie tak łatwo się zmieniają, nie pozostaje więc nic innego jak — zmienić ludzi.

Pewne zwolnienie cenzury dało możność społeczeństwu naszemu chociaż pośrednio zaznaczyć swoje zapatrywania na stosunki polsko-rosyjskie. Zasługuje w tej sprawie na uwagę szczególną artykuł p. Szeligi, zamieszczony w *Gazecie warszawskiej.* Autor sądzi, że wypowiada opinię nietylko swojej (ziemiańskiej) sfery, ale i przeważnej części ogółu. Istotnie p. Szeliga jakkolwiek nie powiedział, bo nie mógłby powiedzieć wszystkiego, co należało, zajął stanowisko właściwe, na którem powinna była stanąć odrazu prasa polska.

»My wszyscy, lub prawie wszyscy, jesteśmy wychowańcami epoki trzeźwej, liczymy sie z rzeczywistością, jej prawami i następstwami. Pojmując więc jak najdokładniej, i konieczność i rzeczywistość, rozumiejąc swój stosunek do państwa, musimy w nieuniknionej konsekwencyi zapytać: co zwrot (pojednawczy) w prasie ruskiej, nam obiecuje?

»Uważam, że zapewnienia o naszej lojalności dla rządu są zbyteczne. Pełnimy wszystkie obowiązki względem państwa, do którego należymy w skutek losów historycznych, i każdy, kto bezstronnym być chce i umie, przyzna, że pełnimy je poprawnie i całkowicie. W zamian od państwa, jak to wynika już z samej istoty jego atrybucyi, spodziewamy się zadosyćuczynienia dla naszych potrzeb społecznych i narodowych.

»Jeżeli więc artykuły prasy ruskiej zmierzają w tym kierunku, jeżeli one nie mają być tylko nieskończonymi sporami i rozprawami o mniejszej lub większej lojalności Polaków, to je przyjmujemy jako zadatek istotnego zrozumienia, które, w takim razie ułatwiać i zbliżać będziemy chętnie i z dobrą wolą. Bo według mego skromnego zdania, które, naturalnie, nie rości sobie żadnego prawa rozstrzygania, nawet na papierze, o takim pierwszorzędnej wagi przedmiocie, rozprawy naszych i ruskich pism tylko o lojalności mogą się stać czcze, jałowe, nawet nudne. Źle zaś bywa, kiedy traktowanie sprawy publicznej staje się jałowe. Zresztą są te rozprawy zbyteczne. Rząd ma inne, lepsze sposoby dowiedzenia się o naszej lojalności, a my ich sami nie potrzebujemy«.

»Patrząc więc na rzeczy logicznie i rozsądnie, pisze p. Szeliga, i z punktu widzenia naszych i państwowych interesów, zdawaćby się mogło, że czas już przejść na grunt faktów. Chwila po temu byłaby tak właściwą i dobrze wybraną, jak mało kiedy. To poręcza obecny nastrój społeczeństwa«.

Trudno było jaśniej wyłożyć sprawę w piśmie, wychodzącem pod cenzurą, która pozwala umieszczać tego rodzaju artykuły, ale nie pozwala używać wyrazu rosyjski i każe pisać ruski. Trzeba było zachować ogledność i baczyć pilnie, żeby jeden wyraz nie wymknął się niepotrzebnie.

Ma się rozumieć, artykuł ten niepodobał się *Warszawskiemu Dniewnikowi* i p Margrafskij dał odpowiedź p. Szelidze. Wiadomo że żandarmi, których zadaniem, według słów Mikołaja I, jest »ocieranie łez wdowom i sierotom«, są bardzo uczuciowi, więc i szanowny pułkownik wolałby, żeby Polacy bez zastrzeżeń manifestowali swoją lojalność i nie pytali o fakty. »Czyż lojalność — woła p. Markgrafskij — powinna być stosowaną tylko w ściśle określonych wypadkach, nie przekraczać oznaczonych granic i mieć cechy powściągliwości?« Nie, takiej lojalności społeczeństwo rosyjskie nie może zaufać.

Słowem role zupełnie się zmieniły. Lekkomyślny i łatwo ulegający wrażeniom Polak powiada dziś: »Wszystko to brzmi bardzo ładnie, ale przyjaźń przyjaźnią, interes — interesem«. Natomiast *diełowoj* pułkownik z wyrzutem przemawia: »Jakto, więc ty chcesz powściągać swoją lojalność, chcesz zamknąć swe uczucia w oznaczonych granicach? No, to ja ci wierzyć nie mogę«. »*My* jesteśmy stroną pokrzywdzoną — dosłownie cytuję p. Markgrafskiego, nawet z podkreśleniami, *my* mamy prawo. moralne wahać się z uznaniem niewątpliwości faktu lojalności, *my i tylko my* możemy

żądać od społeczeństwa polskiego faktów, faktów i faktów«.

Sam p. Markgrafskij byłby jednak w kłopocie, gdyby mu kazano powiedzieć: jakich faktów żąda od społeczeństwa polskiego. Jego »szeroka natura« nie znosi powściągliwości i nie zna granic. Czułe jego serce, nie zadawalniając się afektami kliki ugodowców, pożąda od całego społeczeństwa polskiego wzajemności uczuć. Pan pułkownik czuje się obrażonym, pan pułkownik się gniewa, kiedy w chwili tak podniosłej mówią mu o interesie i nie chce wiedzieć, że w pojęciu lojalności muszą być koniecznie i określone wypadki i oznaczone granice i »cechy powściągliwości«.

Dobrze przynajmniej, że tego rodzaju rozmowy, jak dyalog p. Szeligi z p. Markgrafskim mogą być teraz publicznie prowadzone, wyjaśniają one bowiem społeczeństwu stosunek obu stron, kontraktujących pojednanie polsko-rosyjskie. *J. L Jastrzębiec.*

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 10 stycznia.

Stosunki prasowe od czasu objęcia rządów przez Hurkę. Umysł żołnierski i dusza społeczna. Komitet cenzury i kancelarya jenerał-gubernatora. Książki i gazety w cenzurze. Pisma prowincyonalne. Pisma ludowe. Zachowanie się społeczeństwa wobec obostrzeń cenzury. Rozpowszechnienie druków niecenzuralnych. Cenzura po-hurkowska. Tytuły rosyjskie na książkach polskich i skuteczna opozycya społeczeństwa. Paraliżowanie opozycyi. Wolno pisać o stosunkach polsko-rosyjskich. Co będzie dalej?

Jedną ze smutniejszych stron stosunków obecnych w zaborze rosyjskim jest bezwątpienia zachowanie się rządu i jego organu — cenzury wobec prasy i piśmiennictwa polskiego. Nie mówiąc już o kraju zabranym, gdzie zniesiono całkowicie prasę polską i uniemożliwiono wydawanie jakichkolwiek książek polskich, w samem Królestwie stosunki stały się tak ciężkie, jak nigdy. Istniała wprawdzie niesłychanie ostra cenzura za czasów mikołajewskich, ale wtedy społeczeństwo nasze znajdowało się niższym szczeblu rozwoju i potrzeby jego umysłowe były o wiele mniejsze. Wtedy drukowane słowo, w szczególności zaś gazety, nie odegrywały takiej roli ani w całej Europie, ani tymbardziej w Polsce, żadna więc, najsurowsza nawet cenzura nie mogła tak się odbijać na całych stosunkach społecznych. Dziś kiedy czytają masy, kiedy ogromna część społeczeństwa nie może się obyć bez gazety i książki, jak bez chleba, pewien stopień wolności słowa stał się niezbędnym warunkiem normalnego rozwoju życia. Tymczasem wtedy właśnie, kiedy to życie zaczęło bić najszybszem tętnem, sfery rządowe uznały za właściwe rozpocząć takie prześladowanie prasy i piśmiennictwa naszego, iż rozwój ich został ściśnięty niesłychanie ciasnymi więzami i nawet stało się rzeczą widoczną, iż chodzi o całkowite jego zabicie.

System bezwzględnego ucisku prasy został właściwie wprowadzony przez Hurkę. Wiedząc, iż celem jego rządu jest kraj całkowicie zruszczyć, a przynajmniej życie narodowe polskie sprowadzić do *minimum*, drogą prostego wnioskowania doszedł on do tego, że trzeba między innemi zdusić piśmiennictwo i prasę, należące do najważniejszych tego życia czynników. Wziął się też do tego bez żadnej ceremonii i w ciągu lat paru cenzura warszawska zmieniła się do niepoznania.

Rząd rosyjski, trzymając się zasady wysuwania wojskowych na najważniejsze stanowiska w administracyi, zyskuje dla swoich celów wiele: wprowadzają oni do systemu żołdacką surowość, brutalną konsekwencyę, zasadę działania bezwzględnego, zdobywania wszystkiego szturmem. Zyskując wszakże pod jednym względem, traci pod innym. Administrator-sołdat ma zamało wykształcenia politycznego, zamało znajomości stosunków społecznych, ma zbyt wązkie poglądy i niedość giętki umysł. Wyobrażając sobie, że kulturę można tak samo zdobyć i zrównać z ziemią, jak twierdzę, narażony on jest na wiele złudzeń i wiele rozczarowań. Hurko był przy całej swej bezwzględności człowiekiem naiwnym: dla niego do końca życia pozostała nieznaną ta prawda, że społeczeństwo ze wszystkiemi swemi instytucyami jest organiczną całością, że posługując się wyłącznie metodą chirurgiczną, niepodobna mu odebrać właściwego charakteru. Nie mogła rozszerzyć jego poglądów udzielająca mu częstokroć natchnień połowica, słynna ze swej głupoty i nietaktu, przeciwnie zachęcała go ona jeszcze do skrajności. Ta ciasnota umysłowa energicznego *diejatiela* najlepiej się wyraziła w jego stosunku do polskiego drukowanego słowa.

Przedewszystkiem postarał się o to, żeby mieć w Warszawie sprężystą i czujną cenzurę i w tym celu na naczelnika jej przeznaczył swą kreaturę, p. Jankulio. Nie to wszakże było główną gwarancyą czujności, ale druga cenzura w Zamku. Kancelarya jen.-gubernatora czytała wszystko, co wychodziło, i w razie niedopatrzenia czegoś przez cenzora, ten dostawał surową naganę. Nawet wydawcom już po ocenzurowaniu dostawały się wysokie kary pieniężne. Tym sposobem w krótkim czasie cenzura tak została wytresowana, że nawet widziała w rękopisach i rysunkach masę rzeczy, których tam wcale nie było. W obawie o utratę posady, cenzor nie unikał najcięższej pracy, nie obawiał się śmieszności, począł wykreślać wszystko, co było, co wydawało się podejrzanem, czego nie rozumiał.

Nie mam miejsca na opowiadanie najbardziej oburzających nadużyć, najpocieszniejszych anegdot. Dość powiedzieć, że stały się niecenzuralnemi wszelkie wiadomości, w których osoby urzędowe lub Rosyanie występują w ujemnem świetle, najniewinniejsze korespondencye z ziem polskich po zagranicami Królestwa, że z polityki można pisać tylko o sprawach egzotycznych, nie mających związku z naszem życiem i t. d. Nawet dzieła naukowe i filozoficzne odrzuca się częstokrokroć dlatego, że nie są np. zgodne z Pismem Świętem — rząd rosyjski bowiem zaczął za ostatniego panowania chorować na fałszywą religijność. W prasie nawet przedruki z pism rosyjskich, nawet przytoczenia z miejscowego *Warsz. Dniewnika* stały się niedopuszczalnemi, o ile w nich poruszano kwestye drażliwe.

Rozumiejąc, że rusyfikacyę prędzej można prowadzić w małych centrach życia, część pism prowincyonalnych zamknięto, pozostałym zaś ograniczono program, nie pozwalając pisać nawet o polityce zagranicznej i sprowadzając ich zadanie do suchego informowania o sprawach lokalnych.

W szczególną opiekę wzięto prasę i literaturę ludową. Tu już nietylko ze słownika wykreślono całą masę wyrazów, nietylko zakazano wspominać o przeszłości, ale poczęto konfiskować wszystko, co tylko było żywiej, z większym talentem napisane.

Hurko nawet język polski zaczął reformować, usuwając z niego wyrazy »rosyjski«, »rusiński« i dozwalaj[ąc] w użyciu jedynie »russki« przez dwa „s“.

Metoda to w całem znaczeniu tego słowa radykaln[a]. Tylko jej zwolennik, ciasnogłowy wielkorządca nie wiedział, że społeczeństwo cywilizowane do pewnego stopnia tylko może znosić ograniczenia w swej zwykłej strawie umysłowej, że są rzeczy, których najspokojniejsi, najmniej rewolucyjni ludzie nie mogą sobie odmówić.

Gdy cenzuralna, wyjałowiona prasa stała się mdłą strawą, zjawił się silny apetyt na rzeczy niecenzuralne. Jedni ludzie poczęli ich szukać z pobudek poważnych, w po-

czuciu potrzeby wiadomości i myśli politycznych, pomagających rozumieć dzisiejsze położenie, inni wprost dlatego, że po zbyt mdłej strawie codziennej dobrze robi spożycie czegoś *„piquant“*. Gdy istnieje silny popyt, musi się zjawić i podaż.

W ostatnich latach nader silnie rozwinęło się przemytnictwo literackie, do Królestwa z za kordonu zaczęto sprowadzać całe masy wydawnictw niecenzuralnych, a z tych wiele pisanych wprost i wyłącznie przeznaczonych dla mieszkańców zaboru rosyjskiego. Zjawiły się specyalne wydawnictwa, rozprawiające o stosunkach w zaborze rosyjskim i poruszające bieżące zdarzenia z życia tej dzielnicy. W przedmowie do seryi broszur, pod ogólnym tytułem *„Z dzisiejszej doby“*, z Warszawy i dla Warszawy za kordonem wydawanych, redaktorowie wyraźnie powiedzieli, że chcą zapełnić brak w prasie, wytworzony przez surową cenzurę. Wydawnictwa te zaczęły krążyć w niezliczonej ilości egzemplarzy, a zważywszy, że każdy egzemplarz przechodzi przez kilkadziesiąt par rąk, można wnioskować, że rozpowszechnienie takiej broszury jest o wiele większe, niż rzeczy wychodzącej pod cenzurą.

Zjawisko to wystąpiło nietylko śród inteligencyi, ale i śród sfer ludowych. Nie mówiąc już o klasie robotniczej, zasypanej wprost masą broszur i posiadającej na miejscu swój podziemny organ p. t. *Robotnik*, śród ludu wiejskiego poczęła się szerzyć bardzo pomyślnie literatura niecenzuralna, zwłaszcza historyczna. Popyt na nią okazał się nader silny, chłop bowiem polski niczego z taką namiętnością nie czyta, jak historyę, a nie mając nic z dziejów swego kraju w literaturze cenzuralnej, rzuca się łakomie na zakazaną.

Zapotrzebowanie na literaturę niecenzuralną wzrasta z dnia na dzień. Ludzie, którzy dawniej rzucali z drżeniem do pieca najniewinniejszy świstek zakazany, którzy bali się wziąć w rękę cokolwiek z zakordonowych druków, dziś czują już potrzebę stałego czytywania jakiego pisma zakordonowego i niecierpliwią się, gdy ta stała lektura długo nie przychodzi. Można śmiało powiedzieć, że suma pieniędzy, wydawanych przez Królestwo na druki niecenzuralne, z roku na rok się podwaja i że podwaja się liczba czytelników każdego przychodzącego egzemplarza, coraz rzadszym bowiem jest odruch rzucania w ogień pism, kosztownymi środkami sprowadzonych.

Ten stan rzeczy z początku dla sfer rządowych był tajemnicą. W miarę wszakże wzrostu literackiego przemytnictwa, coraz więcej poczęto łapać druków na granicy, coraz więcej ich znajdować przy rewizyach w domach inteligencyi, w izbach robotniczych i w wieśniaczych chatach. Zwłaszcza świeżo ubiegły rok 1895 dał pod tym względem obfity połów. Skonfiskowane w tym roku pisma wskazały żandarmom, że, prócz masy książek, w kraju systematycznie się rozchodzi parę nielegalnych pism peryodycznych, dostarczanych w pokaźnej liczbie egzemplarzy.

Rozwój i rozpowszechnienie prasy niecenzuralnej odbywają się w znacznej mierze niezależnie od wzrostu dążności przeciwrządowych i ich propagandy. Prasa ta istnieje nietylko dlatego, że są ludzie, agitujący przeciw rządowi, ale i dlatego, że społeczeństwo nie może się obyć bez informacyi o pewnych kategoryach faktów oraz bez dyskutowania pewnych żywotnych kwestyi. Przecie w ostatnich czasach ukazały się nawet broszury ugodowe przemycane, bo nawet stronnictwo, propagujące lojalizm i uczucia wiernopoddańcze, nie ma możności swobodnego argumentowania swych założeń. Jest to zjawisko bardzo ciekawe, świadczące do jakiego stopnia system cenzuralny hurkowski przyczynił się do ugruntowania w społeczeństwie zwyczaju porozumiewania się środkami nielegalnymi.

Coraz bardziej tedy widoczną prawdą staje się, że żaden system represyjny nie może przekraczać pewnego *maximum* środków w danych warunkach społecznych. Życie ma pewne swoje prawa, których najpotężniejszy nawet rząd pogwałcić nie może.

Póki cenzura była łagodniejsza, a społeczeństwo, zajęte »pracą organiczną«, mniej interesowało się polityką, krążąca po kraju literatura niecenzuralna sprowadzała się prawie wyłącznie do podręczników historyi oraz zakazanych dzieł naszych geniuszów poezyi. Gdy zaś z jednej strony na porządku dziennym życia zjawiły się palące sprawy polityczne, z drugiej zaś rząd wyobraził sobie, że można środkami policyjnymi oduczyć społeczeństwo myślenia o pewnych rzeczach — zrodziła się niecenzuralna publicystyka bieżąca rozmaitych kierunków, rosnąca z dnia na dzień i w ogromnej większości, rozumie się, skrajnie wroga rządowi. Obostrzenie czujności na granicy i wewnątrz kraju rozwoju tej prasy nie powstrzyma, bo rozpowszechnienie jej mniej lub więcej pomyślne jest tylko kwestyą mniejszego lub większego nakładu pieniędzy, przy pewnej energii garści ludzi. Społeczeństwo nasze, jakkolwiek nienajbogatsze, może sobie na spory nakład w tym kierunku pozwolić, ludzi zaś zajmujących się tem, jak uczy doświadczenie, nigdy nie zbraknie.

Kiedy Hurkę zastąpił na stanowisku hr. Szuwałow, stronnictwo, które boi się wszelkiej nielegalności, jak ognia, które usiłuje napróżno przeszkodzić rozpowszechnieniu prasy niecenzuralnej nawet przez puszczanie w kurs podejrzeń, iż w robocie tej pomaga policya — zaczęło bałamucić ogół wiadomościami o dobrych chęciach rządu. Między innemi zaczęto przekonywać społeczeństwo, że cenzura jest lżejsza. Ze zdziwieniem otrzymywaliśmy numery rozmaitych *Czasów*, zawierające doniesienia z Warszawy, iż cenzura się poprawiła. Tymczasem w działaniach cenzury warszawskiej żadna zmiana na lepsze nie nastąpiła, a pewne rzeczy zaczęto nawet ostrzej cenzurować. Pod koniec, już podczas choroby hr. Szuwałowa dała się czuć jakby mniejsza nieco dążność do szykanowania, gdy naraz, jak grom, spadło na wydawców żądanie, ażeby książki polskie miały wypisane tytuły nietylko po polsku, ale i po rosyjsku. Żądanie to, jak się okazało, nie było wybrykiem miejscowych urzędów, ale wyszło od departamentu prasy, z Petersburga. Wprawdzie skończyło się wszystko niczem, dzięki stanowczemu zachowaniu się wydawców, którzy udali się ze skargą do Petersburga, a tymczasem wydawniczą działalność zawiesili, społeczeństwo atoli pozyskało dowód, że większa jakoby życzliwość rządu dla piśmiennictwa polskiego, o której rozsiewano pogłoski, jest fikcyą.

Gdy o tę sprawę potrąciłem, muszę zuważyć, iż ze strony petersburskich przedstawicieli narodu i opiekunów naszej sprawy usiłowano opozycyę wydawców warszawskich sparaliżować. P. Spasowicz, do którego, jako do specyalisty, zwrócono się o radę i pomoc w wyjednaniu cofnięcia nakazu, starał się przedstawić to cofnięcie, jako niemożliwe, i radził prosić tylko o przeniesienie tytułu rosyjskiego na odwrotną stronicę karty tytułowej, na miejsce, ozdobione dziś napisem: *„Dozwoleno cienzuroju“*. Widać stąd, iż petersburscy zbawcy ojczyzny, dający wskazania polityczne Warszawie, mniej są od niej wrażliwi na tego rodzaju rzeczy, a że więcej natomiast dbają o to, by nie drażnić rządu odmową, gdy ten nam zsyła nowe »dobrodziejstwo«. Na szczęście w Warszawie nie posłuchano rady pana mecenasa, nie chciano jej nawet słuchać, co wyszło sprawie na korzyść.

Ostatecznie rozporządzenie okazało się krokiem fałszywym ze strony władz; cofnięto je, bo zoryentowano się, że zawielkie wywołało oburzenie, że więcej z niego będzie szkody, niż pożytku dla sprawy rosyjskiej. Skutek wszakże,

przez samo wydanie jego wywołany, nie mógł być już cofnięty i pozostało faktem, że opinię polską, tak starannie ostatnimi czasy z dwóch stron uspakajaną, silnie podrażniono. Nie mogło to być miłem sferom rządowym, które widocznie zaczynają dbać o nastrój polskiego społeczeństwa, ani naszym ugodowcom; chcąc tedy poprawić humor opinii, rozpuszczono wieść, że prócz odwołania owego rozporządzenia zrobi się więcej, że nadal nie będzie się już pisało na książkach: „*Dozwoleno cienzuroju*“, ale »Wolno drukować i t. d«. Jakkolwiek zdobycz to byłaby niewielka, ogół się do prawdziwości tej nowiny odniósł sceptycznie

Sprawiedliwość nakazuje przyznać, iż obecnie daje się czuć pewien zwrot na lepsze w zachowaniu się cenzury. Wprawdzie zwrot ten zaznacza się dopiero od kilku tygodni, wprawdzie spostrzeżone objawy nie zapowiadają żadnej stanowczej zmiany systemu, w każdym jednak razie widoczną jest rzeczą, iż zauważono, że w pewnych kierunkach cenzura szła dotychczas zadaleko. Właściwie puszczono dotychczas niewiele takich rzeczy, jakich za Hurki nie możnaby było drukować, ale zmienił się przynajmniej ton cenzorów w stosunku do wydawców — zachowują się oni potrosze tak, jakby poczynali dbać o swą reputacyę, zapewniają, że puszczą wszystko, co można będzie puścić, zwłaszcza co było już gdziekolwiek cenzurowane (przedruki z prasy rosyjskiej i petersburskiego *Kraju*), a nawet prezes komitetu cenzury, p. Jankulio, urzędownie zaprzecza twierdzeniu korespondenta *St. Piet. Wiedomosti*, który napisał, że cenzura warszawska nie chciała puścić ogłoszenia o numerze *Kraju* z artykułem Spasowicza. To zaprzeczenie jest rzeczą tymbardziej znamienną, że zawiera nieprawdę, bo fakt podany w petersburskim dzienniku nie był zmyślony.

Zasługuje na uwagę ta okoliczność, że cenzorzy sami zachęcają dziennikarzy do pisania o stosunkach rosyjsko-polskich, zapewniając, że można pisać dosyć swobodnie, i kładąc nacisk na to, że cenzura obecnie się zmieniła. Widocznie władze pragną, żeby o tych stosunkach jak najwięcej powiedziano tego, co może być wygłoszone pod okiem cenzury rosyjskiej.

Nasi szermierze lojalizmu z góry się ogromnie cieszą, obiecując sobie na gruncie swobodniejszej dyskusyi w lżej cenzurowanej prasie łatwiejszą propagandę swych zasad. Obiecują sobie oni, że szerokie warstwy społeczeństwa, ulegające dziś »podszeptom buntowniczym«, przy lżejszej znacznie cenzurze powrócą znów do wyłącznego używania strawy legalnej. Zdaje się, że i tym razem, jak i zawsze, łudzą się nieszczęśni. Rządy rosyjskie, zwłaszcza w ziemiach polskich, zanadto się opierają na zasadach policyjnych, ażeby nawet w tych razach, gdzie widoczna jest ich dla państwa szkodliwość, zdobyto się na znaczniejsze rozluźnienie więzów, krępujących myśl ludzką. Czasy hurkowskie tak daleko posunęły zasadę represyi w stosunku do prasy i piśmiennictwa, gdy jednocześnie życie stworzyło nowe stosunki, wymagające większej, niż przedtem swobody myśli, iż, chcąc ażeby cenzurowane słowo choć w skromnej mierze odpowiadało potrzebom społeczeństwa, trzebaby z niezliczoenj ilości głupstw dzisiejszego systemu się wycofać i zdobyć się na myśl szerszą,niż ta, do której są zdolne filary rosyjskiego państwa. Pozwala się to i owo napisać, dlatego że leży ono w widokach rządu, ale zakazuje się tyle, że wobec tych zakazów drobne ulgi są niczem. Dzięki rozpowszechnieniu prasy niecenzuralnej, społeczeństwo ma materyał porównawczy, pozwalający dokładnie ocenić, jak obszerną jest kraina zakazanego, do jakiego stopnia zaciśnięta jest obręcz dzisiejszej cenzury.

* * *

MIANOWANIE JENERAŁ-GUBERNATORA WARSZAWSKIEGO.

Następcą hr. Szuwałowa mianowany został jenerał adjutant, jenerał piechoty, książę Imeretyński. Nowy wielkorządca, pochodzący z rodu, panującego w Gruzyi, liczy lat sześćdziesiąt; cała przeszłość jego zamknięta była w granicach karyery wojskowej, wobec czego niema danych do ocenienia jego kwalifikacyi na to ważne stanowisko administracyjne, na które został powołany. Dłuższy jego pobyt przed dwudziestu laty w Warszawie, na stanowisku pomocnika szefa, a później szefa sztabu, także nic w tym względzie nie daje z uwagi na czysto specyalne funkcye, jakie spełniał.

Przedwczesną tedy jest rzeczą wróżyć cokolwiek o charakterze przyszłej działalności nowo mianowanego dygnitarza. Obce wszakże jego pochodzenie nasuwa obawy, czy nie zawiele będzie musiał dawać dowodów, że jest dobrym Rosyaninem, i czy dowody te nie będą się zanadto odbijały na naszej skórze. Zresztą najbliższa przyszłość pokaże, z kim mamy do czynienia, i wtedy będzie czas oceniać znaczenie nominacyi dla naszego kraju.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań 11 stycznia.

Rozprawy w sejmie pruskim w sprawie rozwiązywania zebrań. Zapowiedź walki.

Interpelacya centrum, dotycząca zakazu używania języka polskiego na zebraniach publicznych była przedmiotem dwudniowych rozpraw w sejmie pruskim. Stawiając interpelacyę w obronie praw obywatelskich swoich wyborców, centrum broniło zarazem swego stanowiska na Śląsku, mocno w ostatnich czasach przez ruch narodowy polski zagrożonego. W obronie tej stronnictwo katolickie pominęło interesy narodowe ludności polskiej i oparło swoje wywody wyłącznie na podstawie praw konstytucyjnych. Władza pogwałciła prawa obywatelskie ludności śląskiej, centrum, które uważa Górny Śląsk za swoje terytoryum wyborcze przeciw temu faktycznemu zawieszeniu niektórych paragrafów ustawy zasadniczej wystąpiło, ale bynajmniej nie brało pod swoją opiekę ruchu narodowego, przeciwnie, dowodziło rządowi, że właśnie tego rodzaju rozporządzenia polskość rozbudzają i wytwarzają niepożądaną agitacyę.

Hakatyści i ich sojusznicy nie chcieli dopuścić rozszerzenia rozpraw i poruszenia sprawy polskiej wogóle. Centrum także nie miało tego zamiaru, traktowało obowiązek swój formalnie i nie wyznaczyło ani jednego z lepszych mówców do przemawiania w izbie. Koło polskie mogło było albo pozostawić centrum własnym siłom i wcale nie zabierać głosu w tej sprawie, albo, decydując się na wystąpienie publiczne, powinno było nadać jej właściwy charakter. Rozwiązanie zebrań kilku towarzystw polskich w Prusiech Zachodnich dawało Kołu dostateczny powód formalny do wytoczenia oskarżenia. Tymczasem prezes Koła p. Motty wygłosił mowę bardzo słabą pod każdym względem, bo i pod względem tonu i pod względem argumentów zużytych i wielokrotnie powtarzanych. A przemówienie ministra tak było liche, tak nadawało się do wynicowania i wydrwienia! Jeżeli nie ma nadziei osiągnięcia rezultatów realnych, w obec układu stronnictw w sejmie, to tymbardziej należy wzmocnić energię wystąpień publicznych, uważając je za środek oddziaływania na opinię publiczną. Posłowie polscy zawsze w taki sposób przemawiają, jak gdyby liczyli na to, że uda im się przejednać nieprzychylną większość, chociaż sami ani na chwilę w to nie wierzą. Dla tego mowy ich nie wywierają pożądanego wpływu ani

na niezależną opinię niemiecką, przeciwnie, wywołują złe wrażenie, bo z konieczności są blade, nudne i nieszczere

Ale wróćmy do rozpraw w sejmie. Interpelacyę uzasadniał poseł Stephan, który zakaz na wstępie zaznaczył, że centrum poruszyło sprawę nie przez sympatyę dla Polaków, ale dla tego, że zakaz narusza prawa obywatelskie katolików i konstytucyę pruską. Poseł Stephan ubocznie zaznaczył, że w Beneszowie żandarm pozwolił mówić ks. Stankemu po morawsku, rozwiązał zaś zgromadzenie wtedy dopiero, kiedy ks, Frantz zaczął mówić po polsku. Oprócz rozwiązania trzech zgromadzeń przedmiotem interpelacyi był również zakaz przedstawienia teatralnego w Królewskiej Hucie, który policya uzasadniła, że „uważa za rzecz niebezpieczną, żeby w niemieckim mieście przedstawiano sztuki polskie“. Tymczasem w Królewskiej Hucie mieszka 5170 protestantów, 896 żydów i 39.000 katolików, z których 12.000 uszęszczało na nabożeństwo polskie, a tylko 6.000 na niemieckie.

Minister spraw węwnętrznych von der Recke przyznał, że w przytoczonych wypadkach urzędnicy żądali istotnie żeby zamiast *hochpolnisch* przemawiano po niemiecku. W przytoczonych wypadkach nie było mowy o kwestyi językowej lub wyznaniowej.

Prawda, trzy wyżej wymienione zebrania rozwiązane zostały z powodu używania na nich górnego polskiego języka, ale nieścisłem jest twierdzenie, że rozwiązanie nastąpiło dla tego, że nie uzywano na nich języka niemieckiego. Władzy policyjnej było obojętnem, czy obrady toczyły się w języku niemieckim czy polskim, chodziło li tylko o nadzór nad niemi. Owe trzy zebrania należały do politycznych zebrań, któremi władze muszą się interesować.

„Zebranie w Bytomiu zwołał redaktor znanego pisma „*Katolika*“, mówcą na niem był również jeden z redaktorrw „*Katolika*“, niejaki p. Dąbek. Przedmiotem zebrania była uroczystość ku uczczeniu pamięci polskiego poety Mickiewicza. Mimo całego szacunku dla tego poety, który zresztą dopiero w przyszłym roku obchodzi setną rocznicę swego urodzenia, winienem jednak zaznaczyć, że uroczystość miała charakter demonstracyi. W Wieszowie napotykamy znowu pana Dąbka, chodziło po prostu o cały szereg tego rodzaju zebrań wędrownych w górnoślązkim okręgu przemysłowym, które przedewszystkiem odznaczają się tem, że mówiono na nich w górnym polskim języku. Także trzecie zebranie było bez kwestyi politycznem, tak że władza czuła się w obowiązku dozorować je. Jest zaś po prostu anomalią, jeżeli urzędnik nadzorujący ma dozorować zebranie, gdy nie zna języka, w którym toczą się obrady. Jeżeli władza wie, że obrady mają się toczyć w obcym języku i jeżeli ma pod ręką urzędników, znających ten język, to odbyciu ich nie będzie robiła żadnych trudności. Nie może to jednak stanowić reguły, nie możemy przecież kształcić urzędników policyjnych na poliglotów“.

Pomijamy dalsze wywody ministra, zaznaczymy tylko, że rozwodził się szoroko o różnicy między *hochpolnisch* i *wasserpolnisch*. Doniesiono mi — powiedział — że służba, sprowadzana z Poznańskiego na Górny Śląsk, nie może odrazu porozumieć się z ludnością miejscową. To samo oświadczył pewien tłómacz, przeniesiony na Śląsk z Poznania. Następni mówcy zbijali wywody p. ministra, żadnemu jednak nie przyszedł na myśl bardzo prosty dowód ich niedorzeczności. Zebrania były ludowe, jeżeli więc zgromadzeni chłopi lub robotnicy zrozumieć mogli mówców, przemawiających językiem książkowym, to widocznie między *hochpolnisch* i *wasserpolnisch* nie ma wielkiej różnicy i urzędnik, znający gwarę śląską mógł zrozumieć o czem mówiono.

Minister oświadczył, że z jego polecenia wydał prezes rejencyi opolskiej rozporządzenie, „na mocy którego urzędnicy postąpili sobie w sposób, który tutaj zakwestyonowano» i tak mowę swoją zakończył:

»Nikt nie zaprzeczy, że prawo o zebraniach musi ustąpić przed bezpieczeństwem państwa, przed względami zdrowotnymi i budowlano policyjnymi. Gdyby zbadanie warunków miało okazać, że prawne granice nie wystarczają, aby zapewnić bezpieczeństwo państwa, jak to potrzebnem jest w interesie świadomego swego celu rządu, natenczas nie będziemy się ociągali zaradzić złemu w drodze ustawodawstwa. Rząd państwowy nie ma powodu do wydania rozporządzeń, jakich domaga się interpelacya. Nie upatruje wyłącznie w użyciu obcego języka dostatecznego powodu do rozwiązywania zebrań. Już atoli na mocy istniejącej ustawy rości sobie prawo do nadzoru tego rodzaju zebrań. Tego prawa nie wolno uszczuplać przez użycie obcego języka. Rząd będzie bronił swych praw. *Czasy są ciężkie i poważne*, a rząd nie uczyniłby dobrze, gdyby sobie pozwolił odebrać prawo, które posiada. Ma on raczej obowiązek bronić go w tych ciężkich czasach z energią i mocą».

Na drugi dzień przemawiali posłowie z różnych stronnictw. Najostrzej i najdowcipniej zwalczał wywody ministra wolnomyślny Munckel, który zaznaczył, że jeżeli na Śląsku policya nie rozumie polskiego języka książkowego, to rząd powinien postarać się o taką policyę, która by ten język rozumiała. Stosuje się to i do Westfalii, jeżeli tam istotnie ludność polska wzrosła do 100.000. Rickert zauważył, że minister grozi zmianą ustawy o stowarzyszeniach. Istotnie kanclerz dał parlamentowi przyrzeczenie, że ta ustawa będzie zmienioną, a parlament dopilnuje, żeby o obietnicy nie zapomniano. Ale parlament to nie sejm pruski i żadnych zmian miłych rządowi nie uchwali. Grozi więc nam walka między parlamentem a sejmem. Kanclerz przyrzekł zmianę na lepsze, pruski minister spraw wewnętrznych chce zmiany na gorsze. Parlament sam wystąpi z inicyatywą nowego prawa o stowarzyszeniach.

Konserwatyści Heydebrandt i Zedlitz rozwodzili się o agitacyi wielkopolskiej przyrzekali pomoc rządowi i wzywali go, żeby energicznie tłumił dążenia do »oderwania części obszaru państwowego i zaburzenia życia wewnętrznego». Posłowie z centrum, mówcy nieszczególni, bronili sprawy dla zasady, ale dosyć miękko. W rozprawach nie poruszono wcale innego nadużycia władzy — nadawania najniewinniejszym towarzystwom polskim charakteru politycznego, co stało się również systemem, ściśle stosowanym.

Minister zabierał głos powtórnie i protestował przeciw »zaczepianiu urzędników pruskich, na których cały świat patrzy z podziwieniem». Zgodził się z posłem Heydebrandtem, że agitacya polska na Śląsku rośnie i że dla tego właśnie rząd przedsięwziął różne środki dla jej powstrzymania.

»Nie uchodzi żeby istniało państwo w państwie, żeby ludność zapominała, czem jest, że jest pruską. Gdyby ten ruch nie miał być tylko przejściowym, ale miał się zwiększac i wzmacniać, to rząd państwowy jest zdecydowany wystąpić przeciwko niemu wszelkimi środkami, służącymi mu do dyspozycyi».

Z tych nowych środków germanizacyjnych jeden wkrótce wejdzie w życie. Na tem samem posiedzeniu sejmu uchwalono, że w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich minister handlu może nakazać młodzieńcom do lat 18 uczęszczanie do wieczornych szkół rzemieślniczych. Naturalnie, projekt uczenia w tych szkołach po polsku — odrzucono, a minister handlu oświadczył, że rząd »pod żadnym warunkiem nie zrobi ustępstw w sprawie nauczania w języku polskim». Nawet najgorliwsi ugodowcy, którzy się jeszcze dotychczas trochę łudzili, wyznają dziś jawnie, że

żadnej nadziei na zmianę polityki rządowej niema, że zaczyna się nowa walka kulturna ale już nie z katolicyzmem tylko z polskością. Wszystko wskazuje, że walka ta prowadzona będzie przez rząd i jego sojuszników z zaciętością niezwykłą, prawem i bezprawiem, jak wypadnie. Na arenie parlamentarnej bronić się skutecznie nie możemy, zraziliśmy jednych sojuszników, odepchnęli drugich, a inni sami nas, chociaż nie bez naszej winy, opuścili. Nie należy jednak zaniedbywać i tej walki, zmiana ustawy o stowarzyszeniach wywołać może starcie między parlamentem a sejmem pruskim i rządem. Niektóre dzienniki przewidują nawet rozwiązanie z tego powodu parlamentu i nowe wybory, które wszakże nie dadzą z pewnością rządowi potrzebnej większości.

Ale głównem polem walki będzie kraj nasz; tu, na własnym gruncie skoncentrować musimy i wzmocnić wszystkie możliwe środki obrony i o nowych pomyśleć. Przetrwaliśmy jedną napaść — bismarkowską, przetrwamy i drugą i bodaj wyjdziemy z niej wzmocnieni, bo ściślej zjednoczeni działaniem wspólnem na całym obszarze ziem polskich. Sposób, w jaki pisma, będące wiernem odbiciem opinii warstw średnich i ludu, przyjęły zapowiedź nowej walki, świadczy, że ogół rozumie grożące mu niebezpieczeństwo, ale bynajmniej nie traci otuchy i spokojnie oczekuje nowych ciosów, spodziewając się odeprzeć je skutecznie. Ma się rozumieć, byt towarzystw naszych, nawet w Księstwie poważnie zagrożony. Będą one musiały ograniczyć lub zawiesić do czasu swoją działalność, ażeby ją energiczniej podjąć na nowo, skoro warunki się zmienią, a niewątpliwie pod tym przynajmniej względem zmienić się muszą.

J. M.

POLICYA PRUSKA I TOWARZYSTWA POLSKIE W PRUSACH ZACHODNICH.

Wspomnieliśmy już w numerze poprzednim, że policya rozwiązuje zebrania towarzystw, obradujące w języku polskim, nietylko na Śląsku, ale i w Prusach Zachodnich. W ciągu ostatnich dwóch tygodni rozwiązano, o ile nam dotychczas wiadomo, 4 zebrania,

Z powodu ro.wiązania zebrania w Kamieniu przewodniczący miejscowego towarzystwa polsko-katolickiego wniósł zażalenie, na które otrzymał od landrata złotowskiego odpowiedź, że musi uznać postępek burmistrza Wegnera za właściwy »ze względu na istniejące stosunki«, ponieważ tenże burmistrz »nie włada językiem polskim i nie rozporządza odpowiednią do sprawowania nadzoru osobą, mówiącą po polsku«.

Tymczasem pisma polskie zapewniają, że p. Wegner wybornie mówi po polsku, widocznie więc skłamał przed władzą, albo ta władza skłamała. Minister spraw wewnętrznych zaręcza, że policya wtedy tylko rozwiązuje zebrania, jeżeli nie ma na miejscu urzędnika, umiejącego po polsku. Ale każdy urzędnik może powiedzieć, że po polsku nie rozumie i to władzy wystarczy.

W Komorsku walne zebranie towarzystwa ludowego rozwiązał woźny urzędu wójtowskiego *(Amtsdiener)*. Miał on piśmienne polecenie od wójta w Nowem, niejakiego Kownackiego i zażądał od przewodniczącego, żeby mówiono po niemiecku. Członkowie towarzystwa, uważając rozwiązanie za bezprawne, wytaczają podobno wójtowi i woźnemu proces o odszkodowanie.

W Lipienkach nowskich wystąpił z polecenia wójta żandarm, który zaraz rozwiązał zebranie, skoro tylko przewodniczący powitał zgrdmadzonych po polsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«. Żandarm okazał niezwykłą gorliwość, zagroził bowiem obecnym, że każdego, kto nie wyjdzie spiesznie, poda do prokuratora. Gdy jednak lud, niezważając na tę groźbę, rozchodził się w spokoju, ale powoli, bo sala była przepełnioną, żandarm zanotował sobie kilkanaście nazwisk. Będą, ma się rozumieć, sprawy o nieposłuszeństwo władzy, które byle czem się skończą, ale kłopotu ludziom narobią.

Z praktyki policyjnej względem towarzystw polskich podamy kilka jeszcze znamiennych szczegółów.

W Lubiewie zażądano od inicyatorów towarzystwa, które dopiero ma być założone, przedstawienia władzy niemieckiego przekładu ustawy, która jeszcze nie istnieje. W Skurczu zażądał żandarm tłómaczenia niemieckiego wykładów, grożąc w razie odmówienia rozwiązaniem zebrania.

Natomiast w Pączewie założono bez przeszkód nowe towarzystwo polskie, do którego zapisało się zaraz 90 członków. Przemawiano po polsku i przebieg całego zebrania był normalny. Stało się to na kilka dni przed interpelacyą w sejmie, zapewne dla wykazania w razie potrzeby, że policya wtedy tylko rozwiązuje zebrania, kiedy nie ma urzędników, rozumiejących po polsku.

W Prusiech Zachodnich tacy urzędnicy być powinni, bo tam przecie nie ma gwary »wasserpolskiej«.

Jakkolwiek konstytucya pruska, a następnie konstytucya rzeszy niemieckiej zniosły właściwie wszelkie różnice w stosunku prawno-politycznym prowincyi polskich do państwa, rząd jednakże dotychczas w pewnej mierze różnice te uwzględniał. Stosunek Wielkopolski do państwa pruskiego ma formalną podstawę prawną w traktacie wiedeńskim, a następnie w rozmaitych przyrzeczeniach królów pruskich. Dla Prus zachodnich, przyłączonych wskutek rozbiorów Polski, tylko te przyrzeczenia i dobrowolne zobowiązania stanowią gwarancyę legalną praw narodowych ludności. Śląsk wreszcie jest po prostu prowincyą pruską, przyłączoną do państwa prawem zaboru. Dotychczas w stosunku rządu do ludności polskiej zachowywano w pewnej mierze to stopniowanie. Obecnie nie ma żadnej różnicy w postępowaniu władzy na Śląsku i w Prusiech Zachodnich.

Natomiast w Poznańskiem dotychczas ani jednego zebrania nie rozwiązano. Dzienniki niemieckie donoszą nawet, że rząd »zamierza ustanowić w prowincyi poznańskiej wiarogodnych niższych urzędników niemieckich i umiejących mówić i pisać po polsku«, niewątpliwie w celu kontrolowania zebrań towarzystw naszych. Będzie więc dozór wzmocniony, ale rozwiązywania zebrań w Poznańskiem rząd widocznie sobie nie życzy, na Śląsku zaś i w Prusiech Zachodnich sądzi, że uda mu się w ten sposób ruch narodowy powstrzymać.

Z GALICYI.

ZMIANA USTAWY DROGOWEJ.

Między tegorocznemi przedłożeniami Wydziału krajowego pierwsze zajmuje miejsce i niewątpliwie żywą wywoła w Sejmie rozprawę projekt nowej ustawy drogowej, szczególnie ważny dla ludu wiejskiego. Dotychczasowa ustawa, wkładając przewagę ciężarów na gminy, a równocześnie oszczędzając ile możności t. zw. obszary dworskie, była jak wiadomo, niemal od chwili wejścia w życie, przedmiotem nieustannych skarg i zażaleń. W myśl polecenia Sejmu Wydział krajowy miał nowy projekt opracować na zasadzie równości rozkładu ciężarów drogowych, z zastrzeżeniem atoli, że podstawy dotychczasowej ustawy nie ulegną zmianie. Zastrzeżenie to, w wysokim stopniu krępujące, niejasne i nie zrozumiałe, dodano *in usum* szlacheckiej większości sejmowej, dla zapewnienia jej i na przyszłość uprzywilejowanego »stanu posiadania«.

Nowy projekt streszcza się w tém, że przedewszystkiem obowiązek pieszej robocizny na rzecz dróg gminnych zniża z czterech do dwóch dni w roku, zaprowadza natomiast nowy dodatek drogowy 7%, który łącznie z dawniejszym 3% wynosić będzie 10% od opłacanych podatków bezpośrednich i ma obowiązywać wszystkich kontrybuentów w gminie i na obszarze dworskim. Zarazem wskutek powyższego »zrównania»—ustaje obowiązek obszarów dworskich dostarczania materyału drzewnego na mosty do wysokości 5% od podatków. Wydział krajowy oblicza, że podwyższenie dodatku o 7% mniej wyniesie w gotówce aniżeli wartość opuszczonych dwóch dni w robociznie, wyrażona w szacunku pieniężnym. Projekt więc zatrzymuje nadal zasadę robocizny, aczkolwiek ogranicza jej rozmiary, i to jest najgłówniejszym jego błędem.

Robocizną drogową dotknięty jest w pierwszym rzędzie lud wiejski; w miastach większych i średnich o prestacyach w naturze nie ma wcale mowy, tam bowiem oblicza się je na pieniądze i rozkłada na ogół opodatkowanych. Tylokrotnie na wiecach i zgromadzeniach chłopskich podnoszone skargi na krzywdzący charakter dotychczasowej ustawy, zwracały się prawie wyłącznie przeciw uciążliwym pyestacyom, żądały zupełnego zniesienia robocizny. Projekt tłómaczy, że pozostawienie przynajmniej dwóch dni roboczych zgodne jest z jednolitym i równomiernym rozkładem powinności drogowych, że rodziny po wsiach, które prócz rąk do pracy żadnego zgoła mienia nie posiadają, poświęcając te ręce dla drogi gminnej przez dwa dni w roku, złożą dowód, że są użytecznymi członkami społeczeństwa, i chcą się odpłacać za użyczoną im opiekę i pomoc społeczną jak n. p. za urządzenia sanitarne, oświatę, bezpieczeństwo publiczne, wymiar sprawiedliwości i t. p. W końcu twierdzi projekt, że łatwiej jest chłopu odrobić niż zapłacić. Motywom tym nie brak na pozór słuszności, w istocie jednak służą one znowu tylko do zamaskowania tendencyi niesprawiedliwej i jednostronnej. Doświadczenie przekonywa najlepiej, że prestacye drogowe, w naturze wykonywane, nie mają ani połowy tej wartości, co praca najętego robotnika, który na robocie się zna i musi troszczyć się o to, aby zarobku nie utracił. Zapewne, łatwiej chłopu odrobić niż gotówkę wyłożyć, ale zachodzi pytanie, czy godzi się temu, który tylko z dziennego zarobku nędzny swój żywot opędza, zabierać choćby dwa dni źródła utrzymania siebie i rodziny. Wszakże należą tu całe rzesze chałupników, komorników i zagonowców, którym ani odrobić ani zapłacić nie łatwo. A niewczesnym żartem poprostu jest aluzya do społecznej użyteczności ludzi, którzy stwierdzają ją podatkiem krwi, dostarczając rekruta i płacą wszystkie podatki pośrednie, prawie wyższe dziś nawet od podatków bezpośrednich, uiszczanych w gotówce. Gdybyż wreszcie i w tym kierunku równą do wszystkich przykładano miarę, byłoby pół biedy. Ale tak nie jest. Wspomnieliśmy już, że zachodzi różnica między miastem i wsią. W miastach rodziny ubogie t. j. nieopodatkowane nie potrzebują ani odrabiać ani spłacać prestacyi, gdyż się ją rozkłada na samych tylko opodatkowanych w formie dodatków do podatków. Po wsiach przeciwnie: nie tylko opodatkowani, ale wszystkie, najuboższe nawet rodziny ponosić mają ciężar prestacyi w naturze lub w pieniądzach. Prawda, projekt orzeka, że wydziały powiatowe będą mogły uwalniać od tej powinności rodziny nader ubogie i takie, które mają samych chorowitych lub ułomnych członków, w rzeczywistości jednak starania o taką ulgę mogą więcej zabrać czasu i kosztów pociągnąć za sobą, niż warta prestacya. Dlaczego, mimowoli nasuwa się pytanie, inną przyjęto normę dla ludności miejskiej i wiejskiej? Odpowiedź nie trudna. Chodzi o interes większej własności ziemskiej, która, gdyby ciężar drogowy przeniósł się tylko na opodatkowanych, jak w miastach, z natury rzeczy większe płacąc podatki, musiałaby się w znaczniejszym niż dotąd stopniu do budowy i utrzymywania dróg przyczyniać. W tem właśnie tkwi jądro całej sprawy i tem się tłómaczy, dlaczego większość sejmowa, przystając pozornie na »zrównanie ciężarów» tak silnie upiera się przy «dotychczasowych podstawach», z zasadą równości wręcz sprzecznych. Zbyteczna dodawać, że nowy projekt, w takiej formie, jak go Wydział krajowy przedłożył, posłów ludowych nie zadowolni ani nie przyczyni się do wzmocnienia harmonii społecznej, o której nasi konserwatyści tak gorliwie deklamują.

PIĄTA KURYA.

Przygotowania do niedalekich wyborów do rady państwa są w pełnym toku. Władze układają spisy wyborców, co ze względu na powszechne w piątej kuryi głosowanie przedstawia pracę niełatwą i żmudną. Równocześnie wśród stronnictw politycznych objawia się ruch coraz to żywszy. Krzątają się po całym kraju ludowcy, zawzięcie agitują między robotnikami socyaliści, a dotrzymują im kroku Jezuici z ks. Badenim na czele. Rusini, o których osobno piszemy, również nie zasypiają sprawy. Stosunkowo największą jeszcze apatyę zdradza liberalna lewica sejmowa i konserwatyści, którzy nie dają dotąd znaku życia, ufni snać, że za nich i dla nich działać będzie rząd. Może się i nie mylą. Dziś już liczyć się należy z faktem niemal pewnym, że rząd w piątej kuryi własnych kandydatów będzie stawiał i forsował. Pisma konserwatywne niedwuznacznie cieszą się z tego pomysłu i tłómaczą go tem, iż kurya piąta jest powszechną, każdemu więc bez wyjątku wolno występować bądź w roli kandydata, bądź protektora kandydatur, jakie mu się podobają. Przyznać trzeba, że jest w tem nawet dość sprytne wyrachowanie, oparte na przypuszczeniu, że głosy ludowców zwłaszcza i robotników ulegną rozbiciu, a w takim razie wypłynąłby nieznaczną większością kandydat rządowy. Ale rachuby te łatwo mogą omylić, tymbardziej, że kandydatury, które dziś już w kilku okręgach jako rządowe ogłoszono, ujemnością przymiotów swych prześcigają najśmielsze marzenia. Tyczy się to mianowicie znanego p. Szczepańskiego, który na rozmaitych polach życia publicznego skompromitowany, teraz powołując się na poparcie rządu, zapragnął sięgnąć po mandat z Krakowa i między żydami tamtejszymi zaczął już podobno zjednywać sobie wyborców. Cała niezależna prasa oceniła należycie bezczelność tego pana, niektóre nawet pisma, zbliżone do sfer »wyższych«, z wyraźnem niedowierzaniem przyjęły wieść o jego kandydaturze. Słuszne to oburzenie opinii publicznej widocznie podziałać musiało i na sfery rządowe, świeżo bowiem w jednym z dzienników znajdujemy uroczyste zapewnienie, że rząd z tą niefortunną kandydaturą nic nie ma wspólnego, i że Szczepański jedynie na własną działa rękę .. W lwowskim okręgu kandydatom rządowym dla piątej kuryi ma być znany antysemita i poseł sejmowy Merunowicz. Czynny udział w akcyi przedwyborczej, o ile ona dotyczy kuryi powszechnego głosowania, zamierza tym razem wziąć także młodzież. We Lwowie, jak słychać, z inicyatywy młodzieży ma się odbyć niebawem szereg zgromadzeń publicznych pod hasłem programu ludowego. Myśli tej tylko przyklasnąć należy.

SOCYALNO-DEMOKRATYCZNY PROGRAM WYBORCZY.

W ostatnich dniach rozrzucono masami po całej Przedlitawii, a także w miastach galicyjskich, odezwę w kilku językach, między innymi i w polskim, wydaną przez centralny wiedeński komitet austryackich socyalnych demokra-

tów. W polskiem wydaniu odezwy umieszczono podpisy kilku znanych i mniej znanych szerszemu ogółowi przywódców galicyjskiego ruchu robotniczego. Zawarty w niej program zasługuje na uwagę, jako urzędowy poniekąd dokument stronnictwa, które, dzięki reformie wyborczej w Austryi, po raz pierwszy przy nadchodzących wyborach zamierza wziąć czynny w życiu politycznem udział.

Znamiennem jest, że socyaliści galicyjscy, którzy w dotychczasowem swem agitacyjno-demonstracyjnem działaniu nieraz występowali z wielką pewnością siebie, w tym wypadku nie zdobyli się na krok samodzielny, lecz — na komendę z Wiednia czekając, do wiedeńskiego przystosowali się szablonu. Oprócz języka, w którym odezwę z praktycznych oczywiście względów ogłoszono, nic w niej nie zdradza pochodzenia miejscowego, polskiego, sprawy polityczne czy społeczne, o ile ich podstawą czy celem może być naród lub choćby tylko prowincya galicyjska, jako taka, głuchem pokryto milczeniem.

I po za tem wszakże dokument, o którym mowa, nie sprawia budującego wrażenia. Autorowie odezwy przypisują sobie samym wyłącznie zasługę wywalczenia piątej kuryi, wymyślają na wstępie wszystkim i każdemu, kto tylko nie zalicza się do ich obozu, od »zgnilizny«, krzykackiego oszustwa« i innych tym podobnych rzeczy. Wszystko, cokolwiek dotąd zrobiono, licha warte, zbawienie przyniesie dopiero socyalna demokracya, której celem jest »objęcie przez cały lud pracujący we wspólne posiadanie wszystkich środków pracy i kierowanie tą pracą na korzyść całego społeczeństwa«. Drogą do tego celu »podniesienie ludzi z duchowej ciemnoty, z politycznego bezprawia, z charłactwa ciała i z ekonomicznej niewoli«. »Chcemy — głosi odezwa — aby lud był zdolny do ujęcia spraw swoich w swoje ręce«. Zamiast walki między poszczególnymi narodami, chcemy, aby wszystkie narody porwały się do walki ze swymi wyzyskiwaczami, — wiemy bowiem, że ucisk narodowościowy zabija moralnie gnębiciela zarówno jak jego ofiarę. Wiemy, że z bratobójczej walki narodów odnoszą korzyść tylko międzynarodowe związki szlachty, kleru i kapitału. Socyalna demokracya chce każdej narodowości zabezpieczyć swobodny rozwój, chce, aby równem było wszystko, co nosi miano człowieka...« Wychodząc wreszcie z szerokiego koła tych ogólników, odezwa wylicza szereg najrozmaitszych żądań, mających stanowic »program« socyalnej demokracyi. Postulatów rzeczywiście nagromadzono sporo, choć bez związku i ładu. Ważniejsze z nich są następujące: powszechne, równe i bezpośrednie prawo wyborcze do parlamentu, sejmu i gminy, zniesienie izby panów, bezwarunkowa i zupełna wolność prasy, stowarzyszeń, zgromadzeń, zniesienie wszelkich ustaw wyjątkowych, obowiązkowa. bezpłatna i świecka nauka w szkołach ludowych, a bezpłatna nadto we wszystkich szkołach średnich i wyższych, oddzielenie kościoła od państwa, rozszerzenie ustaw ochronnych na robotników wszelkich kategoryi, ośmiogodzinny dzień pracy, reforma ubezpieczenia robotników, zupełna wolność koalicyi dla robotników wszystkich zawodów, zniesienie podatków bezpośrednich i ceł, pokrywanie potrzeb publicznych z poważnego (?) postępowego, podatku dochodowego, majątkowego i spadkowego, ochrona chłopa przed przeciążeniem podatkowem, bezpłatne sądownictwo we wszelkich sprawach i instancyach, uzbrojenie ludu zamiast wojsk stałych i t. d.

Program istotnie obfity, szkoda tylko, że wszystko w nim obliczono nazbyt daleką przyszłość.

STRONNICTWO RUSKO-KATOLICKIE.

Ciekawy obraz przedstawiają w obecnej chwili galicyjsko-ruskie stronnictwa polityczne. Jest ich, tak z grubsza licząc, cztery, mianowicie: radykalno ludowe, Romańczukowe z *Diłem*, moskalofilskie z *Hałyczaninem* i najmłodsze, zorganizowane pod auspicyami metropolity kardynała Sembratowicza, t. zw. »Katolicko-ruski Związek«, którego głównymi przedstawicielami na zewnątrz są posłowie Barwiński i Wachnianin. Fakt utworzenia się »Związku« wywołał w dwóch innych obozach ruskich (radykalny stoi pod tym względem na uboczu) pewne zamieszanie i popłoch. Wprawdzie pierwsza próba zjednania nowemu stronnictwu ogółu duchowieństwa ruskiego spełzła na niczem i dała wynik przez inicyatorów wcale niespodziewany. Stu kilkudziesięciu księży z trzech dekanatów dyecezyi lwowskiej na zjeździe, niedawno przez metropolitę zwołanym, oświadczyło się wyraźnie przeciw wszelkiemu »mieszaniu religii do polityki«, a takich właśnie tendencyi dopatrując się w zaproponowanych rezolucyach, odrzucili je i powzięli uchwały wręcz odmienne. Da się to po części wytłómaczyć słuszną obawą ruskich księży przed naśladownictwem świeckiej ultrarządowej i konserwatywnej polityki biskupów polskich w Galicyi, polityki, która w swych skutkach musi być opłakaną. Mimo tych jednak niefortunnych początków nowe stronnictwo powstało i odrazu nawet stanęło stosunkowo silnie, zdobywając się na własny organ codzienny, który świeżo p. t. *Ruslan* zaczął wychodzić we Lwowie

Jaką będzie rzeczowa działalność »Związku« i *Ruslana*, dziś jeszcze orzekać trudno. Pokaże się to niebawem — z czynów. Nie idziemy jednak za przykładem niektórych organów polskich, odsądzających z góry twórców nowego stronnictwa i redakcyę organu od czci i wiary. Taktyka ta bowiem jest naszem zdaniem błędną i niewłaściwą, tymbardziej, że program *Ruslana* głosi szczerą z Polakami zgodę, a za cel swój stawia obronę narodowości i wiary ruskiej, przeciw czemu powstawać byłoby poprostu śmiesznem. Powiadają, że nowe to stronnictwo jest w ścisłych konszachtach z rządem i zamierza w dalszym ciągu prowadzić akcyę ugodową, podjętą swego czasu przez Romańczuka, a później w znacznej części przez niego samego mocno zdyskredytowaną. Gdyby to nawet było prawdą, nie widzielibyśmy w tem żadnej zbrodni, przeważnie dążeniom takim, jeśli jeno są szczere, w zasadzie życzyćby należało jak najpomyślniejszych wyników. W każdym razie godzi się jednak wyczekać pozytywnych dowodów działalności i siły nowego stronnictwa. Niedalekie wybory dadzą ku temu niewątpliwie sposobność pożądaną.

Że »Związek« jeżeli nie dziś jeszcze, to w krótkim czasie w poważną siłę między Rusinami urość może, najlepszym dowodem tego strach, jaki opanował po jego powstaniu partyę Romańczuka i moskalofilów. Obie te frakcye, które do niedawna jeszcze zdawało się zasadnicze dzielą różnice, wobec nowego »wroga« połączyły się do wspólnej akcyi i zjednoczone chwilowo w t. zw. »ruskim krajowym komitecie wyborczym« wypowiadają zaciętą walkę »Związkowi katolicko-ruskiemu«. Bądź co bądź, »nieprzejednany narodowiec« Romańczuk, podający dłoń rublowym Rusinom, sympatyi budzić nie może.

WNIOSEK POSŁA LEWAKOWSKIEGO.

»Przyjaciołom« swoim, a ma ich co niemiara, poseł Lewakowski świeżem, śmiałem wystąpieniem w obronie ludu i swobód obywatelskich, popsuł znowu na jakiś czas humory. Powód do tego wystąpienia dała demokratycznemu posłowi m. Lwowa znana mowa namiestnika przy otwarciu Sejmu, w której przedstawiciel rządu nazwał zachowanie się władz politycznych w Galicyi podczas wyborów legalnem i wdał się w niewłaściwą krytykę stronnictw, konserwatystom niemiłych. P. Lewakowski zgłosił z tej racyi w Izbie poselskiej nagły wniosek z wezwaniem do rządu, aby wyjaśnił parlamentowi znaczenie namiestnikowskich wywodów

i aby polecił galicyjskim władzom politycznym, iżby równomiernie wykonywały polityczne ustawy konstytucyjne w obec wszystkich obywateli kraju, a to pod zagrożeniem bezwzględnego zastosowania ustawy karnej o nadużycie władzy urzędowej i wszystkich, stojących do dyspozycyi przepisów dyscyplinarnych.

W dłuższem uzasadnianiu powyższego wniosku p. Lewakowski najpierw zastrzegł się z wielką jednością i taktem (którego, nawiasem mówiąc, pozazdrościć by ma mogli jego przeciwnicy) przeciw możliwemu zarzutowi, jakoby przemawiał w Wiedniu przeciw swoim rodakom. Zaznaczył wyraźnie, że nie występuje przeciw »poważanemu i powszechnie w kraju szanowanemu obywatelowi Sanguszce, lecz jedynie i wyłącznie przeciw namiestnikowi i jego urzędowej czynności«. Wybrawszy niekonstytucyjność mowy namiestnika, poseł lwowski przytoczył wiązankę szczegółów o nowych prześladowaniach politycznych i nadużyciach władz galicyjskich, ocenił należycie system korupcyi, szerzonej przez rządzące w kraju stronnictwo Stańczyków i zakończył wezwaniem do Izby, aby nagłość wniosku przyjęła

Ze zjadliwych i gwałtownych ataków, jakie się na głowę p. Lewakowskiego posypały ze strony nieprzychylnych mu organów prasy, wnosić trzeba, że mowa jego faktycznie silne sprawiła wrażenie. W dyskusyi nad wnioskiem zabierali głos między innymi w imieniu Koła polskiego p. Jaworski, a w imieniu rządu hr. Badeni. Pierwszy, w braku argumentów, zarzucał p. Lewakowskiemu, że »podaje w wątpliwość patryotyzmu hr. Sanguszki« *(sic)*, że wskrzesza tradycyę *liberum voto*, że zazdrości sławy Herostratowi i t. p. Prezydent ministrów merytoryczną część wywodów namiestnika wprawdzie pochwalił, (trudno żądać, aby je był zganił), oświadczył wszakże dwukrotnie z wielkim naciskiem, że »rząd ochraniać będzie wolność, ustawami zagwarantowaną« i czuwać będzie bezwzględnie nad poprawnem postępowaniem władz, którym powierzone jest przeprowadzenie wyborów.

W ten sposób wniosek, o którym mowa, choć nagłość jego odrzucono, ądniósł pożądany skutek, zmusił bowiem rząd do jasnego otwartego i obowiązującego na przyszłość oświadczenia.

Do jakiego stopnia zirytowała Stańczyków mowa p. Lewakowskiego świadczy drobny, niezmiernie jednak charakterystyczny szbzegół. Na drugi dzień po uzasadnieniu wniosku p. Lewakowski znalazł na swoim pulcie poselskim kartkę z napisem »zdrajca ojczyzny«. Podrzucił mu ją któryś z jego najserdeczniejszych kolegów. P. Lewakowski z zimną krwią kartkę schował i, powtórnie zabrawszy głos, pokazał ją Izbie, która hemerycznym śmiechem przyjęła wiadomość o tej żakowskiej zemście.

Z KRESÓW.

WYBÓR POSŁA NA GÓRNYM ŚLĄSKU.

= W okręgu Kluczborsko-Oleskim na Górnym Śląsku odbędą się wkrótce wybory na posła do sejmu pruskiego. Poprzednio posłował zmarły niedawno jenerał Gliszczyński, który pomimo nazwiska polskiego był zabitym Niemcem. Obecnie centrum popiera w tym okręgu kandydaturę adwokata z Kluczborka, Muckego, któremu niemieckie pisma katolickie wydały wprawdzie świadectwo, że jest wiernym synem kościoła, który jednak po polsku nie umie. Ludność polska w tym okręgu stanowi większość mieszkańców, ale kto wie czy przy pośrednich do sejmu okazałaby się większość wyborców polskich. Poseł Radwański przepadł np. przy wyborach do sejmu, a przeszedł znaczną większością do parlamentu, ponieważ te wybory odbywają się na zasadzie powszechnego głosowania. W każdym razie należało kandydata polskiego postawić, ale na Śląsku nie ma narodowej organizacyi wyborczej, któraby się zawczasu taką sprawą zajęła. *Katolik* zaznacza, że na kandydata centrum głosować będzie również stronnictwo zachowawcze i dodaje, że »w tym okręgu wyborczym idzie od lat wielu po »staremu«. Wartoby do starego gmachu organizacyi politycznej partyi centrowej otworzyć okna i wpuścić świeżego powietrza od Bytomia, Pszczyny, Rybnika i Prudnika. Ale na ten raz już na to zapóźno«.

Radzi więc *Katolik* swoim przyjaciołom politycznym, żeby głosy na p. Muckego oddali »nie dla tego, żeby z niego bardzo zadowoleni byli, lecz dla tego, ponieważ lepszego nie ma«.

Z powodu tych wyborów *Goniec wielkopolski* przypomina znowu o swoim projekcie »centralnego komitetu wyborczego«. O urzeczywistnieniu tego projektu obecnie myśleć nie można, ale wytworzenie organizacyi wyborczej polskiej na Górnym Śląsku jest rzeczą bardzo potrzebną i pilną.

„AGITACYA POLSKA" NA SLĄSKU.

Dzienniki niemieckie na wyścigi z organami policyi sznkają śladów »agitacyi polskiej«, dla odmiany nazywanej czasem »wielkopolską«, na Górnym Śląsku. Dodać trzeba, że Niemcy wyraz »wielkopolski« *(grosspolnisch)* zwykle inaczej, niż my, rozumieją, mianowicie w znaczeniu ogólnopolski, wszechpolski.

Gazeta *Post* niedawno doniosła o znalezieniu »ważnych dokumentów«, świadczących o tajemnej agitacyi polskiej — podczas rewizyi u prezesa »Sokoła« w Bytomiu, p. Dąbka. Wiadomość ta okazała się fałszywą. Teraz znowu zabrano w Hejdukach »mnóstwo obciążającego materyału«, »wielkopolskich pism agitacyjnych«, mianowicie — historyczne opowiadania, portrety bohaterów polskich i... »polską pieśń narodową z nutami«. Za ten połów *Post* i inne dzienniki hakatystowskie złożyły publiczne podziękowanie regencyi opolskiej za jej energię w ratowaniu »zagrożonej niemczyzny«. Ale niestety, znowu oświadczono, że te pisma rewolucyjne zostały wydane legalnie w Poznaniu i Bytomiu.

Swego czasu »Sokół« w Katowicach chciał urządzić przedstawienie teatralne, ale policya nie dała pozwolenia. Zarząd odwołał się do prezydenta regencyi w Opolu, a gdy ten potwierdził rozporządzenie policyi — zwrócił się z kolei do naczelnego prezesa Śląska, hr. Hatzfelda i niedawno otrzymał następującą odpowiedź:

»Zażalenie z dnia 19 listopada r. z. odrzucam niniejszem jak nieuzasadnione, ponieważ zaskarżone w niem zarządzenie pana prezydenta regencyjnego w Opolu odpowiada istotnym i prawnym stosunkom. Dostatecznie stwierdzono, że nowo założone, tak zwane towarzystwo gimnastyczne »Sokół« w Katowicach, aczkolwiek ma się wstrzymywać od wszelkiego wpływania na sprawy polityczne, wbrew swym statutom zajmuje się polityczno-polską propagandą, jak to wykazują mianowicie mowy, wypowiedziane na zebraniu dnia 18 października roku zeszłego, stosunki utrzymywane z zamiejscowemi polskiemi towarzystwami i krajowymi i zagranicznymi agitatorami, jako też wyzywające publiczne występowanie w zwracającem uwagę ubraniu. Z drugiej strony jest rzeczą wiadomą, że w mieście Katowicach postępowanie tak tego, jak i innych pokrewnych mu polskich towarzystw, których członkowie i jego są członkami, wywołało wielkie rozgoryczenie w przeważnie niemiecko usposobionych kołach ludności, które już raz doprowadziło do

czynnego nieporozumienia i przy dalszych prowokacyach łatwo może spowodować ponowne wybryki. Jeżeli zarząd towarzystwa bez względu na te okoliczności starał się o pozwolenie na urządzenie publicznego przedstawienia teatralnego w polskim języku, natenczas zarząd policyi był tem więcej upoważniony do odmówienia pozwolenia na takie przedsięwzięcie, sprzeciwiające się interesowi państwa (?) ile że jest odpowiedzialny za utrzymanie publicznego spokoju i porządku i musiał się obawiać zakłócenia spokoju z powyższego powodu«.

Niżsi urzędnicy policyjni naśladują wyższą władzę i przesadzają się w gorliwości. Ks. Bernert założył spółkę pożyczkową systemu Reiffeisena w Biertułtowcach. Wójt miejscowy oświadczył, że zaskarży wszystkich członków do prokuratora ponieważ obradują po polsku.

Na sołtysów i przewodniczących gmin mają być wybierane w przyszłości na Śląsku tylko osoby, władające doskonale językiem niemieckim, w nadziei, że tacy nie dadzą się uwieść agitacyi polskiej. To dopiero początek walki, można się spodziewać wkrótce dalszych kroków« Im silniejszy będzie ruch narodowy, słusznie powiada *Orędownik*, tym akcya policyi pruskiej przeciw niemu będzie intensywniejszą«. Ale to z pewnością nie powstrzyma ruchu narodowego i nie sprowadzi z właściwej drogi.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

Detroit Mich. 26 grndnia.

Niewesołe święta obchodzi w tym roku amerykańska Polonia. Pomimo obietnic republikanów dobre czasy nie wracają po wyborze Mackinley'a; brak pracy trwa w dalszym ciągu, fabryki stoją, albo zatrudniają zaledwie czwartą część normalnej liczby robotników. Taki stan rzeczy najwięcej daje się czuć Polakom, którzy wskutek swojej niezaradności i braku dobrej organizacyi zwykle ostatni dostają pracę i pierwsi ją tracą, Po większych miastach tysiące ludzi świętuje już od kilku lub kilkunastu miesięcy; zapasy z dawnych, lepszych czasów już się wyczerpują a nadziei na poprawę położenia mało. Rozczarowanie wśród polskiej ludności względem republikanów olbrzymie. Gdyby się dzisiaj powtórzyły wybory, to, kto wie, czy nie zwyciężyliby demokraci samymi tylko polskimi głosami. Że głosy polskie coś znaczą w walce między dwiema głównemi amerykańskiemi partyami, dowodzi następujące obliczenie. Republikanie zwyciężyli w sześciu środkowych stanach razem większością tylko 2500 głosów, a te właśnie stany przeważyły szalę zwycięstwa na stronę Mackinley'a. Otóż w jednem tylko Chicago Polacy oddali za republikanami z pewnością więcej niż 2500 głosów, gdyż, według przypuszczalnych obliczeń, w Chicago 60% Polaków głosowało na Mackinley'a. Takie tłumne przejście Polaków z obozu demokratycznego, w którym stale dotąd przebywali wraz z irlandczykami, do obozu republikańskiego będzie dla Amerykanów nadal wskazówką, że nie należy nas lekceważyć. Podczas kampanii przedwyborczej republikańscy mówcy już zwracali uwagę polskich wyborców na ten fakt np. że obecny prezydent, demokrata, zawarł z Rosyą traktat o wzajemnem (!) wydawaniu politycznych przestępców. Dawano Polakom do zrozumienia, że żaden republikanin nigdyby nic podobnego nie uczynił. Świadczy to, że przy lepszej organizacyi i większej solidarności Polacy mogliby mieć jaki taki wpływ na zewnętrzną politykę Stanów Zjednoczonych. Kilkadziesiąt tysięcy głosów, skupionych w ręku jednej organizacyi. świadomej swoich celów i interesów, przedstawia w Ameryce potężną siłę, z którą będzie się liczył każdy mąż stanu bez względu na stronnictwo, do którego należy. Ale daleko nam tu jeszcze do takiej solidarności. Potrzeba byłoby daleko większego rozwinięcia umysłowego i politycznego wyrobienia, a to nie przychodzi odrazu, szczególnie wobec braku licznej, uczciwej i szczerze dbającej o dobro publiczne inteligencyi.

Tutejsza nasza pół- i ćwierć inteligencya tak jest zdyskredytowaną u ludu, że niezmiernie trudno jest teraz inteligentnemu pracownikowi wzbudzić zaufanie do siebie i do swoich dążeń. Są tu w każdem mieście i w każdej dzielnicy ludzie dobrej woli, którzyby radzi byli szczerze pracować dla dobra ogółu, ale lud, zrażony smutnem nieraz doświadczeniem, stroni od ludzi wykształconych i niechętnie daje ucha ich radom i nawoływaniom. Pewna część prasy, którą tu nie bez racyi nazywają godzinową, mąci i psuje do reszty i bez tego nie bardzo świetne stosunki między rozmaitemi organizacyami i towarzystwami Występując niby w obronie religiji, której nic tu nie grozi, te pisemka drażnią ludzi bez potrzeby i odwracają uwagę słabo rozwiniętych i niewyrobionych swoich czytelników od spraw prawdziwie ważnych. Ogół ludności polskiej czuje już potrzebę kupienia się około jednego wielkiego środka, potrzebę licznej i zasobnej organizacyi, któraby imponowała Amerykanom; ale że straciłoby na tem kilka jednostek, więc najęci pismacy ciskają pełnemi garściami ziarna niezgody, bezczelnie szafując różnemi wielkiemi i świętemi hasłami. Lud czyta, wzrusza nieraz ramionami i traci do reszty zaufanie do ludzi, żyjących z pióra lub w ogóle z pracy umysłowej.

Postęp jednak jest. chociaż bardzo powolny. Ujadania na Związek N. P. powoli słabną i sprawiają coraz to mniejsze wrażenie. Właściwie mówiąc, od kongresu buffaloskiego dano spokój Związkowi, i zwrócono gromy tylko przeciwko niektórym osobistościom, kierującym sprawami Związku. Związek wciąż wzrasta, ale też wzrasta jednocześnie i druga wielka organizacya — Zjednoczenie, zanosi się zwolna na skupienie znacznej części wychodźtwa w obrębie dwóch wielkich organizacyi, co można uważać za przedostatnią fazę rozwoju naszego życia społecznego i politycznego; ostatnią będzie zlanie się tych dwóch organizacyi w jedną. Dają się już spostrzedz pewne symptomy, pozwalające przypuszczać taki koniec. Zwolna zanika wzajemna niechęć i zawziętość członków obydwóch obozów z dołu. Gdyby nie rozpaczliwa niemal agitacya z góry, nie cofająca się, jak wspomniałem, u słabszej strony przed żadnymi środkami, to pojednanie i porozumienie się postępowało by nawet dość prędkim krokiem. Środki te zresztą są tak marne i zpowszedniałe, że nie mogą starczyć na dłuższy czas i z każdym dniem tracą na sile· Wymyślanie ludziom od masonów, niedowiarków, »patryotów» (*sic*), żydów, naigrawanie się z różnych rzeczy »narodowych», jak Związek narodowy, Dom narodowy, Skarb narodowy, rzucanie od czasu do czasu podejrzeń w kierunku Szwajcaryi, Rapperswylu i t. p, oto zwykła, codzienna taktyka pewnej kliki ludzi, którzy czują, że tracą grunt pod nogami, a nie umieją bronić go w sposób poważny i odpowiedni nowożytnym wymaganiom.

W jeszcze bardziej niedołężny i nieprowadzący do celu sposób prowadzą te pisma walkę z tak zwanym »kościołem niezależnym», Walka ze schizmą w wolnym kraju, gdzie nie można uciekać się do gwałtu, nie może chyba, jeśli ma być skuteczną, polegać na pogardliwem przezywaniu niezależnych księży »pryczerami», a kościołów »zborami» lub na drukowaniu w parafialnem pisemku mdłych dialogów między dziećmi, dziękującemi Bogu, że mają dobrych proboszczów. W starej Polsce do rozprawy ze schizmą stawali ludzie takiej miary jak Skarga, jak św. Józafat

Kuncewicz i walczyli nie jadem nienawiści, lecz potęgą miłości chrześciańskiej i wyższości moralnej i umysłowej. Sprawa »niezależnych« jest jednym dowodem więcej, że łatwo jest zepsuć, ale trudno naprawić.

Głównem źródłem wszystkich tu bied naszych i niepowodzeń jest brak oświaty. Lud nasz jest nietylko ciemny, ale jeszcze w dodatku naśladuje niższe klasy amerykańskiego społeczeństwa w ich lekceważeniu nauki i wogóle życia umysłowego. Nad wyraz liche nasze szkółki parafialne nie mogą naturalnie poprawić tego stanu rzeczy w zastosowaniu do młodego pokolenia. Zamożni rodzice nie dbają wcale o kształcenie swoich dzieci w wyższych szkołach polskich lub amerykańskich. Prasa też nic prawie nie robi dla podniesienia umysłowego poziomu swoich czytelników. Aksyomatem nawet poważnych pism, jak *Zgoda* (Nr. 52), jest że pisma polskie w Ameryce są dla ludu, a nie dla akademików, że więc muszą być nie tak redagowane, jak by sobie życzyli krytykujący je różni »wykolejeni« literaci z Europy, lecz tak żeby je rozumieli prostaczkowie. Wszystko to bardzo piękne, tylko nie należy zapominać, że łatwiej jest redagować pismo dla akademików, niż dla prostaczków i że w Europie te pisma dla ludu, które sprawiły n. p. ruch ludowy w Galicyi, są prowadzone przez ludzi głęboko wykształconych i wytrawnych literatów. To też wobec tej amerykańskiej pewności siebie, że nie powiem zarozumiałości, można zgóry obawiać się o los zaprojektowanego przez *Zgodę* i popieranego przez wielu związkowców wielkiego dziennika narodowego. Potrzeba poważnego pisma codziennego, któreby dało swoim czytelnikom obfity i pożywny pokarm dla ducha i umysłu, jest powszechnie odczuwaną. Należy jednak życzyć przyszłym założycielom tego pisma, mającego i mogącego stworzyć epokę w życiu naszego wychodztwa, ażeby nie lekceważyli zbytnio europejskich tradycyi i europejskiego sposobu prowadzenia pism. Szczególnie dział, traktujący o położeniu i polityce starego kraju, powinien być prowadzony po europejsku. Wszakże i Amerykanie w swoich poważnych przedsięwzięciach, wymagających większego nakładu pracy umysłowej, posiłkują się europejską nauką i doświadczeniem.

T. S-ki.

PRZEGLĄD PRASY.

— W *Nowinach Raciborskich* znaleźliśmy ciekawą wiadomość, wziętą zapewne z gazet niemieckich, bo nie udało nam się jej wyszukać w żadnem innem piśmie polskiem.

„W ostatnich dniach toczyły się narady pomiędzy kardynałami nad żądaniami rządu rosyjskiego, który się domaga, aby Ojciec św. zgodził się na zaprowadzenie w 17 polskich parafiach na Litwie języka rosyjskiego w wszelkich dodatkowych nabożeństwach, modlitwach kościelnych itd. Władza duchowna, która za rozkazem Ojca św. rozpatrywała ową sprawę, była za tem, aby Ojciec św. nie zgodził się na to. Rząd rosyjski życzy sobie nadto, aby każdy kleryk nie otrzymał święceń, dopóki nie złoży w obecności komisarza rządowego dobrego egzaminu w języku rosyjskim, w historyi i literaturze rosyjskiej, oraz aby Ojciec św. udzielił nagany biskupom i księżom, którzy nie chcieli w kościele wcale czytać odezw cara przy objęciu tronu lub nie czytali tej odezwy po rosyjsku".

Chodzi tu zapewne nie o zaprowadzenie języka rosyjskiego w 17 parafiach, ale o utrzymanie go w tych parafiach, w których księża t. zw. rytualiści dawniej już zaprowadzili w tym języku nabożeństwo dodatkowe. Ci księża powoli wymierają lub z różnych względów opuszczają parafie, a rząd nie pozwala ich następcom odprawiać nabożeństwa dodatkowego po polsku. Obecnie pewnie chodzi o uświęcenie przez Stolicę Apostolską tego, co wbrew jej woli zostało w swoim czasie wprowadzone, co było i pozostało gwałtem na uczuciach katolickich mieszkańców Litwy.

— W Prusiech Zachodnich księża Niemcy zaczynają otwarcie występować przeciw księżom Polakom i za pole walki obierają kościół. *Gazeta toruńska* tak o tem pisze:

„Dochodzą nas wieści zupełnie pewne, że niektórzy księża narodowości niemieckiej, którzy spokojnie patrzą na to, jak lud katolicki obojętnieje dla religii, czytując pisma masońskie w rodzaju „*Geselligera*" i obcując z niedowiarkami w „*Kriegervereinach*" i t. p. towarzystwach, nie mogą tego znieść, że w ich sąsiedztwie powstają towarzystwa katolicko-polskie. Uczestnicząc sami w różnych niemieckich jublach, piorunują z kazalnicy na tych księży Polaków, których podejrzywają o popieranie polskich towarzystw, wymyślają strasznie na wszystkich, którzy do tych towarzystw wstępują, a na redaktorach pism polskich nie pozostawiają uczciwej nitki.

„Z dumą możemy stwierdzić, że duchowieństwo polskie lojalniej postępuje w obec niemieckich swoich współbraci. Rozumie się, że każdy ksiądz Polak potępia w duchu działalność katolickich germanizatorów, ale nikt nie słyszał, żeby ich zaczepiał na kazalnicy. Nie znamy też wypadku, żeby ksiądz Polak w kościele ostrzegał przed gdańskim *Volksblattem*, który już tyle nabroił, a katolicko-niemieckie towarzystwa nauczycielskie, ludowe, czeladników, śpiewaków itp. cieszą się wszędzie życzliwą opieką polskiego duchowieństwa.

„Mamy więc prawo żądać dla nas od księży Niemców przynajmniej bezstronności; jeżeli już nie chcą towarzystw katolicko-polskich popierać, niech ich przynajmniej nie zwalczają. Pod żadnym warunkiem nie pozwolimy obrażać z miejsca świętego tych wiernych synów ludu polskiego, których Bóg powołał na służbę do swych ołtarzy. Lud powinien użalić się na nadużycia do władzy duchownej, a ta niewątpliwie pouczy zaślepionych gorliwców, że nie wolno im niechęci do Polaków okazywać w przybytkach, z których ma się rozchodzić miłość chrześcijańska".

Trudno oczekiwać sprawiedliwości od władzy duchownej, która na kleryków w seminaryum nakłada kary pieniężne za to, że czytają książki polskie.

— *Dziennik poznański*, który od czasu przejścia pod nową redakcyę, postanowił, według własnego zapewnienia, informować czytelników dokładnie i prawdziwie o stosunkach polskich w zaborze rosyjskim, zamieścił następującą wiadomość:

„Pisaliśmy niedawno, że poruszono myśl zniesienia kontrybucyi, ciążącej na majątkach polskich Królestwa Polskiego. Wiadomość ta potwierdza się obecnie. Jak bowiem pisze *Düna Ztg.*, rząd petersburski postanowił znieść tę kontrybucyę, wynoszącą 1,500,000 rs. rocznie. Jest to zmazaniem ostatniego śladu powstania z 1863 roku.

W tej krótkiej wzmiance każde niemal zdanie jest niedokładnem lub fałszywem. Kontrybucya ciąży nie na majątkach polskich w Królestwie, ale na polskiej własności większej na Litwie i Rusi, czyli po naszemu w »kraju zabranym«, a po rosyjsku — w »kraju zachodnim«. Suma tego podatku wyjątkowego obecnie wynosi 1,200.000 rs. Wogóle dzienniki, które o tej sprawie pisały, przeceniają znaczenie tej kontrybucyi, a więc i jej zniesienia. W stosunku do obszaru polskiej własności większej w »kraju zabranym« wypada zaledwie kilka kopiejek tej kontrybucyi na morgę. Dodać zaś trzeba, że norma opodatkowania własności ziemskiej na Litwie i Rusi jest znacznie, bo prawie trzy razy niższą, aniżeli w Królestwie. »Zmazaniem ostatniego śladu powstania« zniesienie kontrybucyi być nie może, bo dużo po owej epoce zostało śladów ważniejszych i dotkliwszych w »kraju zabranym«, że wymienimy tylko zakaz przemawiania po polsku w miejscach publicznych, nabywania majątków ziemskich, przyjmowania Polaków na posady etatowe w służbie rządowej i wiele wiele innych.

= *Czas*, oceniając ruch ludowy w Galicyi, powiada:

„Zdrowy rozsądek, który osądzać musi rzeczy podług skutków, orzecze że są to opłakane symptomaty i to tak dalece, że nie są wcale zachęcającemi dla (?) ofiar, które coraz to bardziej obciążając jedną część społeczeństwa, nie działają ani korzystnie, ani dodatnio na drugą i nie przysparzają tem samem sił całości".

Krakowski mąż stanu, którym jest chyba sam pan hrabia Tarnowski, bo któżby inny takim wyszukanym stylem i taką lichą polszczyzną pisał, robi takie przypuszczenie:

„Sądząc po obecnych skutkach, gdyby szeregiem coraz to nowych ofiar stało się, że w tym kraju pozostałoby kilka, może kilkanaście majątków ziemskich, otoczonych włościańską własnością, to pytamy, czyżby jego fizyognomia nie zmieniła się zupełnie, raptem i tak, że z tradycyi, obyczajów, obrazowości (?), cywilizacyi, zatem z teraźniejszego bytu narodowego, mało coby pozostało, że byłby ten kraj nie do poznania i że dokonanemby tu było to, co oręż i miecz turecki sprawiły w słowiańskich krajach bałkańskich, a jak tam, tak tu przyszłoby dopiero czekać, aż kiedyś z chłopa wydobyłby się jakiś nowy byt narodowy, całkiem niepodobny, całkiem niewart tego, który był, ani tego, który jest".

Nie prędko jeszcze doczekamy się chwili, w której »w tym kraju« zostanie kilka lub kilkanaście majątków ziemskich, otoczonych własnością chłopską. Ale że niedługo zostanie tylko na wsi kilkunastu lub kilkudziesięciu szlachciców, a w innych majątkach osiądą Żydzi — tego spodziewać się można, »sądząc po obecnych skutkach« polityki stańczykowskiej. Dziś już są powiaty, w których Żydzi posiadają znaczne obszary, są powiaty, w których wszystkie dzierżawy trzymają Żydzi. Więcej niż trzecia część majątków jest w ich ręku na zasadzie własności lub dzierżawy. A ile majątków posiadają lub dzierżawią Niemcy i inne »obce żywioły«? Czy te dwory żydowskie i niemieckie przechowują tradycyę, obyczaje i kulturę narodową? Czy nie byłoby lepiej, gdyby ziemia polska przechodziła w ręce ludu polskiego i czy ten proces nie utrwalałby mocniej bytu narodowego, aniżeli wysiadywanie w Wiedniu i sprzedawanie lub wydzierżawianie ziemi Żydom?

Nawet »obrazowość« nie straciłaby chyba na tem, że wzrok spotykałby malownicze postacie chłopów zamiast hrabiów galicyjskich, znakomicie ucharakteryzowanych na kelnerów wiedeńskich, albo ich pejsatych i chałatowych pełnomocników i dzierżawców.

= Po ostatnich rozprawach w sejmie pruskim nawet *Dziennik poznański* doszedł do przekonania, że »daremne są wszelkie usiłowania mniejszości żeby osiągnąć korzyści pozytywne» i zamieszcza następujące oświadczenie:

„Dla nas, bądź co bądź, sytuacya, już dotąd dość jasna, jeszcze więcej się wyjaśniła. Podjąć nam wypadnie pełną spokoju, godności, ale i wytrwałości niezłomnej walkę z bezwzględnym systemem germanizacyjnym, któremu obecny rząd sprzyja najzupełniej.

Pan minister zapowiedział, że sprawa językowa w stowarzyszeniach uregulowaną zostanie na drodze prawodawczej. Słusznie powiada *Schles. Volksztg*, że regulacya ta skończyć się chyba może na wyjęciu ludności polskiej z pod prawa!"

Dotąd dobrze, zgodzić się można nawet i na dalsze słowa:

„My oburzeniu ludności naszej wobec tych zajść i zapowiedzi, nie chcemy dawać dziś wyrazu, bo musielibyśmy użyć słów i barw zbyt jaskrawych".

Możeby te wyrażenia i barwy jaskrawe raczej pomogły sprawie niż zaszkodziły, ale o to spierać się nie będziemy. Obawiamy się tylko, czy w tej »wytrwałości niezłomnej« którą obiecuje, *Dziennik poznański* istotnie wytrwa.

= *Orędownik* w następujący sposób charakteryzuje nastrój umysłów społeczeństwa wielkopolskiego w tak zwanych warstwach średnich, wywołany zapowiedzią nowych środków germanizacyjnych, które rząd rychło stosować zamierza:

„Gdybyśmy mieli użyć języka kupców giełdowych, musielibyśmy powiedzieć: po mowie p. ministra spraw wewnętrznych, — nastrój umysłów jest stały, mocny, spokojny, a nawet swobodny.

„Wszyscy w tych kołach, z których nasze informacye idą, rozumieją bardzo dobrze znaczenie formalnej strony groźb p. ministra, ale groźby te zostają bez wrażenia.

„Za wiele i zanadto już nam z tej strony grożono; za wiele i zanadto hukają nam nad głowami hakatyści, żeby się z tem nie można oswoić.

„Choćby też p. minister groźby swe wykonał co do joty, to i cóż? — będzie, jak było; obniży się na chwilę, choćby czas dłuższy ruch w towarzystwach, ruch narodowy w ludności polskiej, żeby potem tem szerzej i tem silniej wypłynąć.

„Przygnębienia nikt nie czuje, pewność siebie, ta rozsądna, ta rozważna — jest powszechna".

Organ ruchu ludowego kończy swój artykuł trafną uwagą:

„Zauważają także, że rządowi istotnie potrzeba lepszych, dokładniejszych informacyi co do politycznego nastroju ludności polskiej całej, a więc od Pucka do Mysłowic. Pan minister zdaje się za nisko otaksował wartość naszej ludności; w rzeczy samej jest ona większa i dla monarchii pruskiej i dla narodowości polskiej".

= *Berl. Polit. Nachr.* dziennik, uchodzący za półurzędowy zamieszcza artykuł, brzmiący prawie dosłownie z oświadczeniem ministra spraw wewnętrznych w sejmie pruskim:

„Rząd państwowy z najusilniejszą energią i niezachwianą konsekwencyą we wszystkich dziedzinach zarządu państwowego i przy pomocy wszelakich środków, których mu dostarczy ostatecznie uzupełnione prawodawstwo, występować będzie przeciw usiłowaniom tego rodzaju (to jest tak zwanej agitacyi wielkopolskiej), gdziekolwiek się one objawią, aż do ostatnich ich źródeł. O tem żadnej nie może być wątpliwości. — Co się tyczy środków i celu ścigania propagandy wielkopolskiej, to takowe mogą być przedmiotem rozwagi, cel sam przecież dla rządu niezachwianie jest pewnym i zdążać on do niego będzie niezachwianie i z niezłomną konsekwencyą aż do jego dopięcia".

Z OBCEGO ŚWIATA.

PIERWSZE CHMURKI.

Pisma angielskie, a za niemi niemieckie zaznaczyły niedawno, że dotychczasowa czułość stosunków francusko-rosyjskich zaczyna trochę chłodnąć. Politycy francuscy mocno są niezadowoleni z postępowania Rosyi w sprawach tureckich. Dla Francyi ma największą wagę sprawa egipska, tymczasem Rosya na razie interesuje się nią bardzo mało. Nieporozumienie to załagodzono telegramem cara do prezydenta, ale jednocześnie znalazł się nowy powód do niezadowolenia — traktat rosyjsko chiński. I w tej sprawie Francya wiernie dopomagała Rosyi i nic na tem nie zarobiła.

Figaro zamieścił kilka artykułów, widocznie przez sfery wpływowe inspirowanych, zarzucających Rosyi, że nie uwzględnia należycie interesów francuskich. *Nord*, półurzędowy organ rosyjski, cierpko odpowiedział na te zarzuty i zrobił obietnicę, że sojusz wkrótce wyda owoc dla Francyi pożądany.

Dymisya hr. Courcela, posła francuskiego w Londynie zwróciła na niego powszechną uwagę. Jest on zwolennikiem sojuszu z Anglią, jak to w rozmowie z korespondentem *Times'a* oświadczył. Mówią że podał się do dymisyi z powodu różnicy jego poglądów i poglądów Hanoteaux ministra spraw zewnętrznych, na zadania polityki francuskiej. Minister zwyciężył, ale czy na długo? W rozmowie

z korespondentem, znanym Blowitzem, hr. Courcelles wyznał, że udało mu się »nawiązanie serdecznych stosunków z Anglią«.

W dzienniku *Eclair* sławny podróżnik Stanley zamieścił artykuł, dowodzący że w sprawie egipskiej porozumienie się Francyi z Anglią jest pożądanem i nie byłoby trudnem. Jednozgodnie uważają wszystkie pisma ten artykuł, jako *balon d'essai*.

Opinia publiczna we Francyi widzi, że Rosya prowadzi w sprawie wschodniej własną politykę i prowadzi ją bez porozumienia się z państwem sprzymierzonem.

Drażni to dumę Francuzów i trochę ich niepokoi, bo Francya przecie ma interesy swoje na Wschodzie, które naraża, nie otrzymując nic w zamian. Wiadomość o tajemnem porozumieniu się Rosyi z Austryą wzmocni tylko podejrzenia. Z Pesztu wyszła pogłoska, że jeżeli rząd turecki spokoju w państwie nie przywróci, Rosya i Austrya czynnie wystąpią, mianowicie pierwsza zajmie Konstantynopol, druga Saloniki. Taka kombinacya wydaje się nieprawdopodobną, jest wszakże możliwą, istnieją dosyć poważne wskazówki, że podobny projekt poruszono.

Dzienniki bismarkowskie twierdzą, że to stary kanclerz rozbudził swemi wynurzeniami podejrzliwość Francyi i zrobił pierwszy wyłom w sojuszu francusko-rosyjskim. Jest w tem trochę prawdy, chociaż w danym wypadku o co innego Bismarkowi chodziło.

KRONIKA.

= Sejm galicyjski ma być ponownie zwołany dnia 3 lutego.

= Akademia górnicza w Przibramie, w Czechach, liczy między słuchaczami w tym roku 8 Polaków.

= Z powodu nieobecności w Wiedniu wielu posłów słowiańskich, udało się Niemcom w Izbie poselskiej obalić tegoroczną pozycyę budżetową na gimnazyum cylejskie. Między nieobecnymi było 26 posłów galicyjskich.

= Dla informowania Niemców o sprawach polskich zaczęło wychodzić w Berlinie pismo *Polnische Corespondenz*. Wydawcą jest dr. Józef Karkowski

= Rodak nasz p. Modest Maryański odkrył w Australii zachodniej pokłady złota.

= W Petersburgu bronił niedawno niejaki Czeczulin rozprawy doktorskiej na temat „Zewnętrzna polityka Rosyi w początkach panowania Katarzyny II.“ t. j. podczas pierwszego rozbioru Polski. Oprócz oponentów z urzędu prof. Łamańskiego i Płatonowa, brali udział w dyskusyi prof. Kariejew, Brando i Miakotin. Wszyscy zgodnie zarzucali Czeczulinowi „zupełną nieznajomość przedmiotu, metody badania i zmysłu krytycznego“. Mimo to fakultet przyznał mu stopień doktora, co zgromadzona w sali publiczność przyjęła sykaniem.

= Przed kilku dniami galicyjski marszałek krajowy Stanisław hr. Badeni bawił w Warszawie. Podobno rosyjskie władze graniczne brzez konsula lwowskiego zawiadomione o jego zamierzonym przejeździe powitały go z honorami niemal urzędowymi. *Czas* krakowski upatruje w tem wyraźny dowód nowego, dla Polaków zbawczego „kursu“.

= Rektor uniwersytetu warszawskiego, profesor psychiatryi i chorób nerwowych, Kowalewskij, usunięty został z urzędu za sprzeniewierzenie kwoty 40.000 rubli.

= Towarzystwo lekarskie w Krakowie zamierza wydać nowy polski słownik lekarski. Wydany raz już taki słownik przez nieżyjących dziś już profesorów Vettingera i Jankowskiego wyczerpał się zupełnie.

= *Wielkopolanin* zamieścił korespondencyę, powtórzoną przez inne pisma, że w pewnem (?) mieście w Poznańskiem przy zakładaniu „Sokoła“ miejscowego zjawił się członek tegoż towarzystwa z Wrocławia, niejaki S., który okazał się szpiegiem. „Sokół“ wrocławski słusznie protestuje przeciw takiemu gołosłownemu oskarżeniu, zaznacza, że wybór jego członków jest bardzo staranny i żąda, żeby *Wielkopolonin* całe nazwisko owego S... wymienił. Zdaje się, że po historyi Tauscha i Lützowa nastała w pewnych sferach w zaborze pruskim mania wyszukiwania szpiegów.

= Świeżo mianowany rosyjskim ministrem spraw wewnętrznych Murawjew, jak donosi *N. Fr. Presse*, wnuk znanego Wieszatiela, cieszył się, według delikatnego wyrażenia niektórych pism, „szczególnymi względami“ carowej-wdowy.

= Od poddanych rosyjskich, przyjmujących obywatelstwo niemieckie, rząd pruski wymaga teraz znajomości języka niemieckiego. Ci, którzy znajomości tej nie wykażą, będą musieli wynieść się z granic państwa niemieckiego. Niedawno w Bytomiu egzaminowano 38 osób. Są to dzieci ludzi, którzy dawno już mają poddaństwo niemieckie, ale takie dzieci, które się urodziły przed naturalizacyą rodziców. Oprócz języka niemieckiego egzaminują wszystkich z geografii i historyi Niemiec.

= Kapelom wojskowym 2 i 5 korpusu ponowiono zakaz grywania melodyi polskich nietylko na zebraniach publicznych ale i na zabawach w domach prywatnych.

= Pisma poznańskie donoszą, że otrzymały drukowaną odezwę, z podpisem „Kobiety z Korony, Litwy i Rusi“, wymierzoną przeciw ugodowcom, napisaną „ogniście ale i po kobiecemu“, jak zaznacza jedno z pism miejscowych, dodając, że „właśnie panie z nad Warty i Wisły najwięcej szalały za partyą dworską w zaborze pruskim“.

= Rząd węgierski nie zgodził się na wydanie Stojałowskiego władzom austryackim, ponieważ przestępstwa, o które jest ozkarżony, nie są według kodeksu węgierskiego karane.

= *Kölnische Zeit.* i kilka innych dzienników doniosło, że car zamierza utworzyć radę najwyższą, która bez odwoływania się do niego załatwiała by mniej ważne sprawy państwowe. Prezesem tej rady miał zostać ks Konstanty Konstantynowicz. Obecnie okazało się, że projekt taki rzeczywiście istniał, ułożony przez kamaryllę dworską, ale zniweczył go ks. Konstanty, który ofiarowanej mu godności nie przyjął i źle cara do owej rady usposobił.

LISTY CZYTELNIKÓW.

Szanowna Redakcyo!

W przypuszczeniu, że fakt, o który chcę potrącić, nie zwrócił jej uwagi, jako rzecz drobna, pozwalam sobie niniejszem poruszyć go ze strony, mającej większe, niżby można było myśleć, znaczenie. Mam na myśli odczyt jednego z mieszkańców Lwowa o rosyjskich więzieniach politycznych.

Zwracano już w Waszym *Przeglądzie* uwagę na to, że mieszkańcy Galicyi niezmiernie niewielu utrzymują stunków z Królestwem i że mało jest stosunkowo ludzi, którzy uważali za właściwe a raz w swem życiu odwiedzić Warszawę, choć zdaje mi się, iż powinno to być poniekąd obowiązkiem każdego inteligentnego Polaka. W tem największem mieście polskiem i głównem ognisku życia umysłowego polskiego może każdy z nas wiele skorzystać, więcej o wiele niż np. w Wiedniu, do którego tak wszyscy u nas ciągną. Przyczyn tej obojętności, tego braku zainteresowania się stolicą Polski jest wiele, a między niemi niepoślednie miejsce zajmuje — któżby przypuszczał! — jakaś niewytłomaczona obawa. Przeciętnemu mieszczuchowi galicyjskiemu, który o stosunkach zaboru rosyjskiego nie ma pojęcia, który czytał o nich same sensacyjne doniesienia, zdaje się, że po przebyciu granicy rosyjskiej będzie zaraz obskoczony przez kozaków, którzy jeżeli pasów z niego nie zedrą, to przynajmniej wsypią mu jaką setkę nahajek. Ograniczeni ludzie nie rozumieją, że najbardziej barbarzyńskie państwo we własnym interesie musi umożliwiać obcym poddanym swobodne poruszanie się na swoim gruncie, choćby dlatego, że znaczna ich część wytwarza korzystny dla państwa

ruch ekonomiczny. Tymczasem robi się często całkiem przeciwne.

Zjawia się np. jakiś p. Schleyen, młody izraelita, który, pozazdrościwszy laurów Kennanowi, występuje z odczytem i prawi zgromadzonej publiczności duby smalone o swoich w zaborze rosyjskim przygodach, o tem jak będąc wrzekomo najniewinniejszym podróżnym, od samego początku został obskoczony przez szpiegów, potem wtrącony do więzienia, poddany strasznym męczarniom psychicznym i t. d. Rzuca na to wszystko jakieś dziwnie chorobliwe, ponure światło, a prasa tutejsza korzystając ze sposobności podziałania na nerwy czytelników, roznosi płód chorobliwej fantazyi po kraju.

Nie mam zamiaru bronić Rosyi, jest to istotnie państwo barbarzyńskie, rządzące w sposób nieludzki w naszych ziemiach; prawdą też jest, że ludzie tam mogą najniewinniej po parę lat siedzieć w więzieniu. Ale niedorzecznością jest opowiadać o jakiejś strasznej sieci szpiegostwa — bo Rosya właściwie ma policyę dość niedołężną — lub przedstawiać więzienia tamtejsze, jako piekło dantejskie, bo te jęki, napełniające cytadelę mogły być tylko halucynacyami słuchowemi p. Schleyena. Siedziałem sam w cytadeli warszawskiej i znam kilkudziesięciu przynajmniej ludzi którzy byli więzieni zarówno tam, jak w centralnem więzieniu w Petersburgu, które p. S. niewłaściwie twierdzą nazywa. Nie jest tam wesoło, ludzie stamtąd wychodzą często z nadszarpniętem zdrowiem, ale od czegóż trochę charakteru, żeby znosić mężnie zamknięcie i niewygody. Chce wiedzieć p. S., jak się po męsku te rzeczy znosi, niech przeczyta „Siedem lat w Szlisselburgu" Bronisława Szwarcego.

Z tego morał, że ludzie z takimi nerwami i z taką wyobraźnią, jak p. Schleyen, nie powinni wojny żadnemu państwu wypowiadać, a prasa nie powinna byle głupstwa powtarzać.

Z prawdziwem poważaniem

W. N.

OD REDAKCYI.

Rozpoczynając nowy rok wydawnictwa, uważamy za właściwie zawiadomić czytelników naszych, iż *Przegląd Wszechpolski* będzie prowadzony nadal w tym samym zakresie i kierunku. Sądzimy, iż czytelnicy nasi dosyć ten kierunek poznali i że nie mamy potrzeby szerzej objaśniać naszego stanowiska pośród organów prasy polskiej.

Nie mamy złudzenia, ażeby pismo nasze posiadało możliwy stopień doskonałości w tym zakresie, jaki sobie obrało, to też staraniem naszem będzie ciągle postępować i bez nagłych zmian wprowadzać stopniowe udoskonalenia, o ile środki nasze na nie pozwolą, Przedewszystkiem mamy na widoku pewne rozszerzenie zakresu rozpatrywanych zjawisk i przez to urozmaicenie treści pisma.

Nie mogąc, skutkiem braku miejsca, dawać utworów literatury pięknej, postanowiliśmy poświęcić im:

Nadzwyczajny dodatek literacki,

który wyjdzie z druku w ciągu pierwszego kwartału i będzie rozesłany, jako **premium**, wszystkim prenumeratorom *Przeglądu Wszechpolskiego*, którzy wniosą roczną lub półroczną przedpłatę.

Na dodatek ten, objętości od 5 arkuszy druku, złożą się prace znanych autorów, którzy bądź nadesłali nam już, bądź przyobiecali poezye, nowele i t. p. (rzeczy autorów z zaboru rosyjskiego, jako niecenzuralne na miejscu, nie będą opatrzone nazwiskami).

Obok tego szczególny nacisk położymy na dobre informacye o stosunkach zaboru rosyjskiego, co uważamy za rzecz nader ważną, zwłaszcza z tego względu, iż ostatnimi czasy *Przegląd Wszechpolski* stał się jedynem pismem, informującem stale i dokładnie o tych stosunkach i starającem się właściwie je oświetlać.

Wszystkich życzliwych nam upraszamy o rozpowszechnianie naszego pisma i zapoznawanie z niem czytającego ogółu.

Administracya *Przeglądu* wysyła na żądanie numery okazowe bezpłatnie.

Przedpłata na *Przegląd* pozostaje bez zmiany i wynosi:

w Monarchii austr. węgierskiej	rocznie	10 kor.
	półr.	5 kor.
w Cesarstwie niemieckim	rocznie .	10 mk.
	półr.	5 mk.
